

Nr 4 (91)

CZASOPISMO LITERACKIE

2022



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 4 (91) 2022

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
ul. Sikorskiego 107
66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk
603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Sekretarz redakcji: Danuta Zielińska
95 727 70 70 / d.zielinska@wimbp.gorzow.pl

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Magdalena Turska, Danuta Zielińska

Druk: ZAPOL Sobczyk sp.k.
al. Piastów 42
71-062 Szczecin

W numerze i na okładce prezentujemy rysunki i obrazy Jacka Laudy

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie
www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

RYTUAŁY

Dziś – pozornie – nie ma w nich już żadnej tajemnicy ani wyjątkowości. Żadnego tabu. Oswoiły się. Rozgościły w codzienności. Towarzyszą i porządkują rytm życia. Dają poczucie bezpieczeństwa i przynależności do grupy społecznej, z którą się identyfikujemy. Pozwalają uwierzyć, że mamy wpływ, choćby to dotyczyło najdrobniejszych i najbardziej prozaicznych czynności.

Rytuał parzenia i picia kawy/herbaty. Zwyczajowo ukonstytuowana celebra świętowania. Obrzędowy wręcz charakter wydarzeń towarzyskich czy sportowych. Rytuał wspólnych kolacji i comiesięcznych wyjść na tańce. A nawet rytuały pięknych ust, zadbanych pięt czy lśniących włosów, których już nie musimy wykonywać w salonie kosmetycznym, w obecności kosmetolożki pełniącej rolę szamanki, wystarczy zacisze domowego SPA (tzn. łazienki) – magia na wyciągnięcie ręki.

Nie załamamywałam rąk. Im bardziej społeczność otwarta, rozwinięta i wielokulturowa, tym mniejszy nacisk kładzie na rytuały przez wielkie R. Nie musi ich bowiem używać do ochrony przed Obcym ani do budowania tożsamości i poczucia bezpieczeństwa na fizycznym i duchowym przywiązywaniu członków społeczności do siebie nawzajem. Nie musi rozbudowywać obrzędów i wierzeń, tabuizować życia, poddawać go nieustannemu rygorowi kolejnych rytuałów przejścia. Zamiast tego jest „krzątaństwo” wspaniale opisywane przez znakomitą filozofkę Jolantę Brach-Czainę w „Szczelinach istnienia” czy „Błonach codzienności”, celebrowanie rytmicznie następujących po sobie świąt i dbanie, by nic nie zakłócało nam ustanowionego porządku rzeczy.

Z drugiej jednak strony, w tym w miarę mimo wszystko bezpiecznym świecie, potrzebujemy duchowości. A skoro nie znajdujemy jej w oswojonych rytuałach świąt i obrzędów, tworzymy nowe. Albo wracamy do starych, z zapamiętaniem neofitów wiedźmiąc, szamaniąc i podróżując w głąb samych siebie.

Ten numer „Pegaza Lubuskiego” w całości poświęcony jest rytuałom przez wielkie i małe r. Czy uporządkuje Państwu świat, czy może wprowadzi małe zamieszanie? Proszę sprawdzić, zaglądając na łamy. Pełne są ciekawych historii!

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna Pegaza

Katarzyna Maciantowicz

przyjaciel odchodzi

kochana moja we mchu w której rzeka niesie się
pieśni śpiewasz nieskoczne
smutno mi

wiem o tobie tyle co wody w studni rąk
czuję o tobie tyle co powietrza w przestrzeniach
oddycham czysto

zielenią się twoje włosy
palce spletają nad pniem
ze źrenic sptywają księżycy
jest noc

jeśli stajesz się drzewem
to najpiękniejszym
jeżeli już teraz
to teraz

świt pęka

rozszumia się las w śpiewie ukójny
kołyszają się trawy żałobnie
w nich ja



gdybym była sarną. legendy

gdybym była sarną
pochylona w trawie nastuchiwałabym
wędrowek

jeślibyś przyszedł przyszedłbyś
z wiatrem i słońcem na grzbiecie
musnęłabym sierść łagodnym spojrzeniem
wiedziabym

legandy babek szeptały
o tobie



Fot. Agnieszka Moskałuk

KATARZYNA MACIANTOWICZ: poetka, bibliotekarka, animatorka kultury. Zadebiutowała w 1998 r. na łamach „Filipinki”. Związana z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, uczestniczyła w warsztatach organizowanych przez RSTK. Jest autorką dwóch tomików poezji: *Międzybywanie* (1999) oraz *Skóra* (2003).

W TAKIM DNIU

Hanna Bilińska-Stecyszyn

Pan Kazio, jeśli by go przebrać w czerwony strój, z tą długą siwą brodą, z powodzeniem mógłby udawać świętego Mikołaja. Gdyby nie fioletowa barwa jego nosa i twarz opuchnięta od wody. Trzęsie mu się ręka, gdy niesie do ust łyżkę z barszczem. Pewnie wołałby setę gorzały, lecz trudno, trzeba trzymać fason. Wszak to cicha noc, święta noc i przybieżeli do Betlejem... Przybieżał w wersji wigilijnej, spod rozpiętej marynarki widać pogniecioną, ale czystą koszulę i nawet staromodny krawat z grubym węzłem.

Obok niego Władek. Naprawdę – Jóźwiak, lecz wszyscy nazywają go Agromem albo Władkiem Liczykrokiem. Na ulicy odmierza przestrzenie swoich tajemniczych światów, licząc głośno kroki i gryzmołąc na pomiętych karkach. Ma sześćdziesiątkę, za nim setki tysięcy pomiarów i zapewne tysiące przed nim. Uśmiecha się do wszystkich napotkanych ludzi, przerywając odliczanie, by wyciągnąć rękę i się przywitać. Z miejscowych mało kto się wzdraga. Dziś zdążył już zmierzyć tę salę kilkakrotnie i przysiadłszy koło Kazia, siorbnął ledwie kilka łyków, bo znów musi liczyć.

Monika. Jej mi szkoda najbardziej. Mówią o niej Uczona. Z podziwem albo z drwiną, lecz głównie z litością. Dla swojego ojca była oczkiem w głowie. Dyrektor miejscowej podstawówki też przy każdej okazji chwalił się osiągnięciami Moniki Talik, najlepszej absolwentki. Przestał stawiać ją za wzór, gdy zwiatała na Zachód, a i tak mówiło o niej całe miasteczko. Skończyła Sorbonę i jej ojciec puchł z dumy. Zmarł na zawał, gdy po latach wróciła do domu. Plotki głoszą, że uciekła od jakiegoś Turka, który przez kilka lat, nim zdołała mu się wyrwać, nie miłosiernie ją bił. Ale pamiętała tylko, że bardzo go kochała. Leczyli ją potem w zakładzie, kilkakrotnie. Wracała coraz bardziej nieobecna. Chyba wciąż go kocha i jest szczęśliwa. Tam, gdzie jest. Bo widać, że z naszym światem łączy ją coraz cieńsza nitka. Chcieliśmy ją przywrócić między żywych, wiele razy byłam w tej norze, w której mieszka. Norze pełnej książek. Nie rozumiała, czego od niej chce. Gdy podeszłam do regału, na chwilę się ożywiła, lecz kiedy włożyłam tom w jej dłoń, patrzyła bezradnie, nie wiedząc, co z nim zrobić. Przekartkowałam kilka stron – też na nic. Ona chyba nie potrafi już nawet czytać, wyparta wszystko. Z wyjątkiem swojej wielkiej miłości.

Irek przyszedł jako jeden z pierwszych. Też odświętnie ubrany. Nie sam. Znam doskonale wszystkich podopiecznych, Irkowego towarzysza widziałam pierwszy raz. Bardzo wysoki, ciemnowłosa. W modnych ciuchach. Zupełnie nie jak ktoś potrzebujący pomocy. Ale bo to można mieć pewność? Przecież nie będę go przepytująca. W takim dniu znajdzie się miejsce i dla niego.

– To mój kolega, pani Małgosiu – przedstawił go Irek. – Może zostać z nami, prawda?
 – Oczywiście. Zapraszamy – uśmiechnęłam się i wskazałam nieznanemu miejsce przy stole. Gdy pomagałam przy roznoszeniu potraw, wiele razy przytapałam jego spojrzenie. Naprawdę interesujący. Skąd się tu wziął?

Barszcz jak zawsze jest znakomity. Monika już go zjadła i na twarzy ma ten co zawsze nieobecny uśmiech. Dłubie widelcem w rybie po grecku. Ale czy wie, gdzie jest? Ryba po grecku! Zawsze mnie śmieszy, że Polacy jedzą ją na wigilijną kolację. Ale pani Oli, kucharce z Miłej, łatwiej było przygotować tę „grecką” potrawę. Poza tym wszystko jak trzeba, są śledzie, uszka, pierogi. Nawet kompot z suszu.

Wespół z Olą niezłe nauwijała się żona kierownika restauracji. Darek, ten kierownik, i tak zawsze nam pomagał, gdy organizowaliśmy świąteczną kolację dla podopiecznych, dostarczał termosy z potrawami. A teraz mieliśmy do dyspozycji cały lokal, bo on z żoną wyskoczyli w góry. Głupio było nie skorzystać, choć termin – dokładnie 24 grudnia – nikomu nie pasował. Marcin wyjeżdżał, Basia i Ulka, wiadomo, mają rodziny, dzieci... Przecież nie zlecę im pełnienia obowiązków w takim dniu.

– Szeffowa, dasz radę? – upewniał się Marcin. – Bo jeśli nie, odwołam wyjazd, trudno.

Nie mogłam mu tego zrobić,jechał do dziewczyny. Zapewniłam, że obie z Olą z pewnością sobie poradzimy. I faktycznie, całkiem dobrze nam idzie.

Choć ja tylko godzinę byłam w domu. Zaczęliśmy wigilijną wieczerzę już o piętnastej, ledwie zdążyłam się podzielić opłatkiem z rodzicami i coś skubnąć. Mama nawet nie wygłaszała tradycyjnego kazania, jak to zaniedbuję najbliższych i życie sobie wypetniam podopiecznymi, zamiast poszukać męża. Bąknęła jedynie, że kierowniczką OPS powinna mieć ludzi do roboty, a nie znów harować sama. Nie podjęłam tematu, za to cmoknęłam ją w policzek. Przecież jest Wigilia.
 – Włożyłabyś coś jasnego, wyglądasz jak zakonnica – mruknął ojciec, kiedy, w ciemnej sukience i czarnych rajstopach, przed lustrem w przedpokoju poprawiałam fryzurę. I ścisząc głos, żebym nie dosłyszała, dorzucił w stronę mamy:
 – Ona już chyba zostanie starą panną.

Jednak dosłyszałam. Wyszłam, trochę za głośno zamykając drzwi. Podnieśli mi ciśnienie. Oj, wiem, martwią się o mnie. Tylko co z tego. I tak nie potrafią uczynić cudu i zamiast książek i kosmetyków sprezentować mi pod choinkę męża. Aczkolwiek w takim dniu ponoć wszystko jest możliwe...

Stara panna, kobieta wolna, singielka, jak zwał, tak zwał – jestem sama. Nie będę udawać przed sobą, że mi z tym dobrze. Bo dla świata, owszem, mam inną, oficjalną twarz. Zadowolonej z sukcesów i bez reszty oddanej swojej pracy pani kierownik Miejsko-Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej. I wcale nie muszę udawać. Nie wyobrażam sobie innej pracy. Nawet mimo jej ciemnych, smutnych stron.

A może ja rzeczywiście tym wariantem B, z braku wariantu A, wypełniam sobie życie? Czy trzydzieści pięć lat i nadal solo to w dzisiejszych czasach naprawdę katastrofa?

Katastrofa to ksywka Lolka. Bo on co kilka słów, trzeba czy nie, wtrąca tę „katastrofę”. Dziś komplementuje mnie słowami:

– Pani kierowniczką jak zawsze ślicznie wygląda, katastrofa, ja przepraszam za śmiałość, ale pani wie, że to z sympatii, katastrofa. Szkoda pani dla takich łachmytów jak my, katastrofa...

– Panie Karolu – próbuję mu przerwać – co pan wygaduje. To moja praca i ja ją lubię.

– No, w takim dniu nawet zwierzęta, katastrofa, mówią ludzkim głosem. Ale kolacja pyszna jak zawsze, katastrofa, wielkie dzięki.

Kolejnej katastrofy już nie słyszę, bo Lolek zwraca się ze swoim monologiem do pani Oli, która zbiera właśnie opróżnione talerze. Chcę jej pomóc, lecz macha ręką, że nie trzeba. Dobra kobieta z tej Oli. Też samotna, wdowa. Kiedyś była piękną, wciąż ma ślady dawnej urody. Wielu adoratorów się koło niej kręci, ale są bez szans. Pani Ola zawsze powtarza, że już się tego miodu najadła i wystarczy.

Kazio wyszedł na kwadrans i chyba coś przyjął, bo po powrocie oczy mu się świecą i nos sfoletowiał jeszcze bardziej. Przecież nie będę go obwąchiwać. Jest Wigilia, niech ma te swoje radości. Tylko się boję, czy inni dadzą radę przetrwać ten wieczór na trzeźwo.

Dobrze, że Liczykrok nie pije. Nadal mierzy. W przerwach opróżnia talerze. Apetyt mu dopisuje i wcale się z tym nie kryje, jak inni, udający powściągliwość, żeby nie było, że przyszli tu jak głodomory. Mają swoją godność. Ubrania też włożyli lepsze niż na co dzień. Mówią niewiele, cicho. Są odświętni. Zupełnie inni niż nad wodą, gdzie wielu codziennie łoi od rana i skąd czasem aż na rynek dobiegają ich podniesione głosy.

Właściwie nie ma wśród nich stuprocentowych bezdomnych. Na dwudziestu trzech naszych podopiecznych tylko dwóch nocuje w szopie na ogródkach działkowych i wielokrotne próby ruszenia ich stamtąd nie przyniosły skutku. Mówią, że im dobrze. A zresztą dokąd mielibyśmy ich przenieść? Obaj są samotni, obaj nie pochodzą z naszego miasteczka, choć zagnieździł się w nim sporo lat temu. Pilnujemy, by w tej szopie nie zamarzli zimą, i tyle.

Jacek Cwaniak wcale nie przyszedł. Cwaniakiem – w myślach – nazywam go tylko ja, inni mówią o nim po nazwisku, Karczowski. Piekielnie inteligentny, to widać nawet gdy bełkoce. A bełkoce, bo prawie nie trzeźwieje. W rzadkich momentach przebłyków odwiedza nasz ośrodek i zawsze się czegoś domaga, usiłując przechytrzyć Basię i mnie. Wyraża się przy tym górnolotnie, rzekłabym: poetycko, by na nas puścić dymy i wyłudzić świadczenia, które mu się nie należą. Znamy te sztuczki. Żegna się z nami zawsze wyniosłym:



– Kobiety to jednak podrzędny gatunek człowieka. Jak moja eksmatzonka. Kłaniam się.

Jego „eksmatzonka” już wiele lat temu uciekła z dziećmi od pijaka i wyjechała w świat... Marcin był u niego przed Wigilią, jak u wielu innych, których należało powiadomić o kolacji.

– Tylko wie pan, panie Jacku, musi pan przyjść trzeźwy. Choćby na godzinkę – zawiadomił Cwaniaka. – Niech się pan nie gniewa, że ja tak urzędowo, ale wie pan, muszę.

– Marcin pracuje u nas od niedawna i wciąż trudno mu się odnaleźć w pewnych sytuacjach. – Takie są zasady – dodał.

– Pierdołę wasze zasady – odbełkotał mu Cwaniak. – A barszcz mi szkodzi na wątrobę. Sami sobie go jedzcie.

Dziwne, że on w ogóle jeszcze ma wątrobę. Cały szcerniały od picia.

Zauważam, że kilkoro podopiecznych zaczyna się zbierać. Mam nadzieję, że wychodzą tylko na papierosa. Wraz z nimi podnosi się od stołu Irek.

– Pani kierowniczo, skoczę po gitarę i zaraz wracam.

O Jezu. Znów nas skatuje. Przecież on już ani głosu nie ma, ani grać nie potrafi. Choć kiedyś był z niego zdolny muzyk. Miał pięcioosobowy zespół i dziewczynę w każdym mieście, i nawet fanklub, bo jeździli po całej Polsce. Wóda go zgubiła.

Zawałał koncerty i trasy, zrywał umowy, z wielkiej kasy zostały mu nędzne resztki. Potem grał po weselach z dwoma takimi jak on, też niedługo. Opamiętał się, kiedy go pobito do nieprzytomności i jak zdechłego psa wrzucono do przydrożnego rowu. Do dziś nie wiadomo, kto to zrobił. Ale Irek już nigdy więcej nie wziął alkoholu do ust. Po zakończeniu terapii wrócił do miasteczka i w odblaskowej kamizelce zamiata ulice oraz pomaga ludziom kopać ogrody i rąbać drewno. Tylko że ręce też zrobiły mu się drewniane i już zupełnie nie umie grać. Trudno, jest Wigilia. Wytrzymam, większość zresztą nawet nie zwróci uwagi na jego fałsze. Zanim kolacja dobiegnie końca, pośpiewamy trochę kolęd. Jak co roku.

Pani Ola przysiadła na chwilę przy Monice. Delikatnie głaszcze ją po ręce. Przez osiem szkolnych lat się przyjaźniły i wcale nie stanowiło przeszkody to, że Monika błyszczała, a Ola ciągnęła się w ogonie klasy i trzeba było jej pomagać w lekcjach. Potem Ola skończyła zawodówkę gastronomiczną, a Monika miała zostać drugą Skłodowską-Curie. Jak się te losy dziwnie plotą! Dziś to Ola opiekuje się Moniką, choć ta pewnie nie pamięta, że kiedyś siedziały w jednej tańce.

Wraca Irek z gitarą. Co za szczęście, nie on będzie grał. Podaje ją nieznanemu. Ten przez chwilę stroi instrument, potem uderza w struny. Przerzywa, pytając mnie, czy może grać. Uśmiecham się, przytakując.

Pierwsze dźwięki kolędy brzmią niesamowicie głęboko i czysto. A jakie on ma ładne dłonie! Bardzo długie szczupłe palce. Głos też ma przyjemny, ciepły, z leciutką chrypką.

„Bóg się rodzi, moc truchleje”... Zawsze zaczynamy tą kolędą, lecz nigdy nie śpiewano jej w tym gronie tak pięknie. Aż wszyscy milkną, by dopiero po chwili się dołączyć. Chór naszych głosów brzmi już dużo gorzej, lecz nieznanemu najwidoczniej to nie przeszkadza. Uśmiecha się do mnie, po kociemu mrużąc oczy. Czerwienię się niczym pensjonarka. No coś takiego! Wstaję od stołu pod pretekstem odniesienia talerzy. Mam nadzieję, że nie zauważył, w sali oświetleniem są jedynie lampki na choince i parę kinkietów.

Jeszcze kilka kolęd i spotkanie dobiega końca. Szkoda. Po raz pierwszy nie śpieszy mi się do domu. Zresztą i tak muszę pomóc pani Oli posprzątać. Nieznajomy odkłada gitarę na krzesło, wstaje. Widzę to tylko kątem oka, bo właśnie żegnam się w drzwiach z Kaziem i z Lolkiem Katastrofą. Wraca Ola, była odprowadzić Monikę, podaje rękę Władkowi Liczykrokowi, który też przed chwilą wszystkim nam uścisnął dłonie.

Teraz nieznanomy wraz z Irkiem zbliżają się do wyjścia. Irek zdejmuje z wieszaka swoją kurtkę, lecz jego kolega chyba zmienił zamiar. Już prawie nikogo nie ma w sali. Ola poszła na zaplecze.

Nieznajomy przystaje, jakby niepewny, co robić.

– Irek, nie czekaj na mnie, przyjdę trochę później – mówi po chwili. Słyszę to wyraźnie, bo patrzy w moją stronę.

* * *

Jechałem do N. wściekły. Beata zadzwoniła rano, byłem tak zaskoczony, że moje początkowe milczenie wzięta za dobrą monetę.

– Przyjedź koniecznie, mam ci coś ważnego do przekazania – oznajmiła.

– Akurat dzisiaj?

– Jest Wigilia, w takim dniu chyba mi nie odmówisz? Czekam. – I rozłączyła się.

Shit, co jej przyszło do głowy! Przecież od ładnych paru miesięcy nic nas nie łączyło. Czego ona może chcieć? Żeby nie ta cholerna Wigilia, nie ruszylbym tyłka. Jednak wypada zachować przyzwoitość. Pojechałem.

Sensatka! Chciała mi zwrócić zegarek i wisiorki, które jej kiedyś podarowałem. Podąta mi łaskawym gestem nieduże zawiniątko, ogłaszając przy tym „definitywny kres naszego związku”. Jakbym sam nie wiedział. Po to się tłukłem aż taki kawał! Naprawdę musiała ten spektakl odegrać właśnie dziś? Ale dobra, niech jej będzie. Zawsze lubiła fajerwerki, niech ma. No i poza tym jest Wigilia.

W drodze powrotnej zadzwoniłem do rodziców, że nie zdążę przyjechać, żeby się nie martwili. Nawet mi to pasowało, bo co roku musiałem z nimi spędzać święta i zawsze był ten sam repertuar potraw i filmów w telewizji. Oraz życzeń, żeby się wreszcie ustatkował.

Kiedyś się zerwę z postronka i polecę na Wyspy Kanaryjskie. Lecz z dzisiejszym wieczorem coś trzeba zrobić. Podobno w takim dniu nikt nie powinien być sam. Głupie przesady, jednak nie uśmiechało mi się spędzenie nocy w samochodzie.

Zaraz. Przecież tu gdzieś w pobliskim miasteczku mieszka brat Beaty. „Ten wykolejeniec”, jak mówiła. Dawno zerwała z nim kontakty. Irek czy jakoś tak. Kiedyś nawet mi pokazała dom, w którym mieszkała jako dziecko i gdzie podobno wciąż ten Irek koczuje. Tak powiedziała, koczuje, z pogardą krzywiąc swoje piękne usta.

Chciałem coś kupić po drodze, lecz nie natrafiłem na ani jeden otwarty sklep. Trudno. Może ten Irek będzie miał choć piwo i kawałek chleba, a jak nie, najwyżej posiedzimy o suchym pysku. Wigilia z wykolejńcem, a co mi tam!

Rozpoznałem ten dom po pięknych drzwiach wejściowych. Pamiątka dawnej świetności, w cudowny sposób nienaruszona przez korniki i czas. Bo cała poza tym chałupina chyliła się ku ziemi niczym zmurszały grzyb. Drzwi się otworzyły i wyszedł z nich facet w grubej zimowej kurtce. Podeszedłem i przedstawiłem się. Podał mi rękę. Spodziewałem się pijaczka, a on był zupełnie trzeźwy. Zacząłem mówić, że Beata o nim wspominała, ale mi przerwał, rzuciwszy krótkie „aha”.

Chciałem odejść, to nie był dobry pomysł z nachodzeniem obcego człowieka, lecz złapał mnie za rękaw.

– Idę na kolację. Chodź pan ze mną – powiedział i postusznie ruszyłem za nim.

Po drodze się rozgadał. Wytłumaczył, dokąd zmierzamy, zacząłem się wykręcać.

– Niech się pan nie kryguje. Tam są dobrzy ludzie, nie zjedzą pana. Odwrotnie, nakarmią – zaśmiał się. – Jestem Irek.

– Wiem. A ja Jan. Mówmy sobie po imieniu – zaproponowałem.

Więc przedstawił mnie tej kierownicze jako swojego kolegę. I przez cały wieczór miałem ochotę się uszczypnąć, a nawet raz to zrobiłem. Ona była jak z baśni o dobrej królowie. Jakby naprawdę lubiła tych swoich meneli. Nigdy jeszcze nie widziałem ich tyłu w jednym miejscu. Chyba nie odgrywała tylko roli łaskawej królowej wigilijnej wieczery? Przyglądałem się jej dosyć natarczywie. Zauważyła. Nawet spojrzała tak, jakby usłyszała moje myśli o menelach, aż zrobiło mi się głupio.

Wieczór zakończył się odśpiewaniem kolęd. Grałem na przyniesionej przez Irka gitarze. Śpiewała również. Jej głos wyróżniał się wśród tych wszystkich męskich, przepitych i faszujących.

Postanowiłem za wszelką cenę ten wieczór przedłużyć. Gdy wszyscy już wyszli, a ona wciąż stała przy drzwiach, podszedłem bliżej.

– Proszę poświęcić mi jeszcze chwilę – zacząłem odważnie. – Jestem Jaś – przedstawiłem się.

– A ja Małgosia.

– Więc jesteśmy z jednej bajki – brnąłem dalej.

– Z baśni – poprawiła mnie z uśmiechem.

– O, pani nauczycielka?

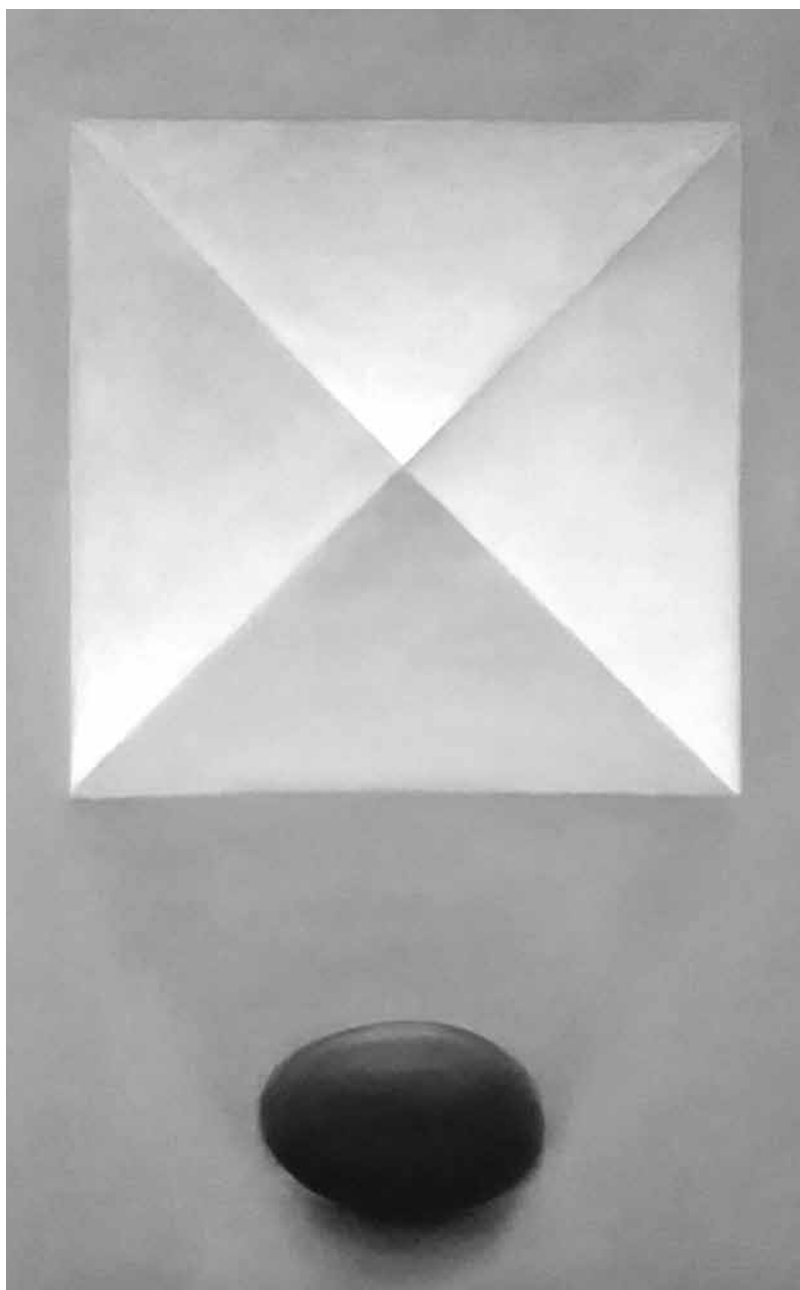
– O, pan lowelas? – znów się uśmiechnęła. – Nie jestem wścibska, ale... Skąd pan się tu wziął?

– W taki dzień... – zacząłem. Chciałem powiedzieć, że dobra gwiazda mnie przywiodła, jak do Betlejem, ale ugryzłem się w język, bo chyba by się jej nie spodobał taki greps. Z bliska widziałem, jakie ma ładne oczy. I usta. Już miałem pewność, że nie ruszę się krokiem z tej knajpy. Chyba że ona mnie z niej wyrzuci. Z pomocą tej kucharki, a i to nieźle by się musiały naszarpać.

Albo wyjdzie wraz ze mną.

lutu 2015

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, pisarka, recenzentka. Miłośniczka życia. Wydała wspomnienia pt. *Pelunia* (2019), nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomiu się nie śniło*. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała dwie powieści: *Wbrew pozorom* (2021) oraz *Druga szansa, czasem trzecia* (2022). Współpracuje z czasopismami literackimi. Autorka dziennika i blogerka („Kobieta domowa” – www.kobietadomowa.wordpress.com).



Aneta Gizińska-Hwozdyk

NIENAWIDZĘ NOWYCH

Nienawidzę nowych:
Nowe przywidzenia,
Nowe przewidywania,
Nowe niewiadome,
Nowe kropki nad „i”,
Nowe palone za sobą mosty złudzeń,
Nowe postanowienia
Stare jak świat,
Bez szans na realizację.
Nowe nadzieje –
takie, jakie były...

Nowe
w żadnym wypadku nie powinno być stare.
A mój nowy rok
ma siwą brodę już od stycznia,
zgarbioną sylwetkę,
a z rzeczy ludzkich
nic nie jest mu obce.



15.03.
2019

12

Dopiero w przyszłym grudniu
nazwę go „swoim starym”,
kiedy już nie będzie:
Uparcie rozkładać przede mną kart,
Szczuć horoskopami,
Wieszczyć
I łudzić nadzieją.

A gdy poznam podszewkę
jego szczelnie zapiętego płaszcza,
kiedy przejrzę zawartość kieszeni
i oderwę ostatni – przeznaczony dla mnie –
Guzik Z Pętelką...

Może nienawiść zmieni się w miłość,

a ja znowu obawiać się będę:

Kolejnego

Szczęśliwego

Nowego

Roku...

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języków polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka opowiadań i małych próz. Jej opowiadania wielokrotnie były nagradzane i wyróżniane w ogólnopolskich konkursach literackich.

DOCZEKAĆ SZABASU W ŁOSICACH

Ferdynand Głodzik

I

Nad poleską wsią zapadła głucha, ciemna noc,
przy świetleku mdłym pracuje Judka Sillberknopf.
Szyje igłą równe ściegi aż nadejdzie świt,
w okularach, które kiedyś nosił stary mnich.

Refren:

Do domu chciałby iść łosicki skromny żyd,
tam czeka jego żona Bajla oraz córek pięć,
jak bardzo on ich kocha ach tego nie wie nikt,
czekają jego córki, żona i kolejny zięć.

II

Dwie cebule szczypta soli mają ostry smak
Tym się Judka zadowoli szyjąc super frak
Jeszcze tyk koszernej wódki w której drzemie moc
To pomoże przetrwać czwartą nieprzespaną noc

Refren:

Do domu chciałby iść...

III

Chociaż Judka jest zmęczony, całkiem pada z nóg
Wzrok ma bystry i przytomny, bo roboty huk
By rodzinę utrzymywać nocą musi szyć
Nie ma czasu odpoczywać bo by nie mógł żyć

Refren:

Do domu chciałby iść...

IV

Klient suto mu zapłacił rubli złotych pięć
 Dodał jeszcze furę drzewa i kartofli ćwierć
 Judka worek wziął na plecy w drogę rusza rad
 Wkrótce szabas się rozpocznie piękny jest ten świat

Refren:

Do domu pora iść, pomyślał skromny żyd

...

V

Nieprzespane długie noce wreszcie mają kres
 Dzisiaj uczta: ryba, kugiel oto szabas jest
 Wtedy sypia się i jada, nie brakuje nic
 kto wymyślił żydom szabas mądry musiał być

Refren:

Przy stole siedzi dziś łosicki skromny żyd,
 a przy nim jego żona Bajla oraz córek pięć,
 jak bardzo on ich kocha ach tego nie wie nikt,
 świętują razem córki, żona i kolejny zięć.

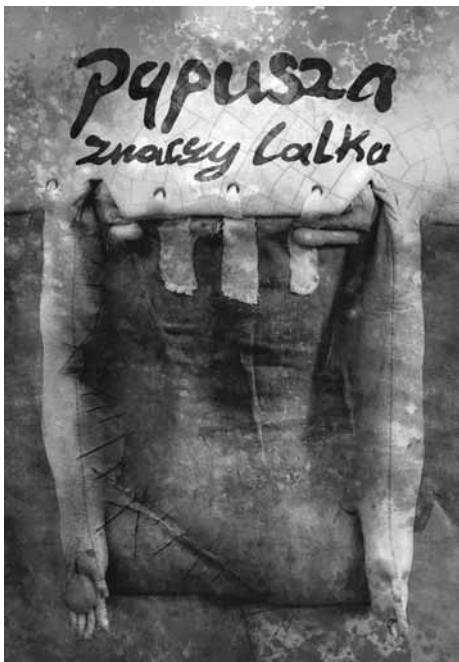
Gorzów Wlkp., 14.05.2014 r.

FERDYNAND GŁODZIK: poeta, satyryk, członek ZLP i RSTK. Własnym nakładem wydał kilka arkuszy z tekstami satyrycznymi, a w 2006 roku zadebiutował oficjalnym tomikiem *Winien i ma*. Wydał również tomiki: *Własnym nosem* (2011), *Szachy na lachy* (2014), *Fredność i przechera* (2016) oraz *Księgo imion* (2017). Laureat nagród i wyróżnień. Miłośnik szachów i jogi.

SIŁA LALKI

Agnieszka Moskaluk

Rozmowa ze scenarzystką KATARZYŃĄ KNYCHALSKĄ oraz reżyserem JACKIEM GŁOMBEM, twórcami spektaklu „Papusza, znaczy lalka”, który swoją premierę w gorzowskim Teatrze im. Juliusza Osterwy miał 10 września, inaugurując sezon artystyczny 2022/2023.



Projekt plakatu: Joanna Sapkowska, Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie

„Papusza...” jest dziełem wybitnym. Głęboko humanistycznym i uniwersalnym. Operując metaforą, historię wyjątkowej poetki czyni opowieścią o każdej kobiecie. Oddaje (wielogłos) niekochanym, niezrozumianym, bitym, odpychanym, zmuszanym do pracy, pozbawianym edukacji, karanym za inność, wyrzucanym poza nawias społeczny za łamanie ustanowionych w patriarchalnym świecie reguł. „Zakony”, ceremonie, rytuały, kodeksy pełnią istotną rolę – szczególnie w niewielkich społecznościach. Wyznaczają ramy współistnienia. Wzmacniają poczucie wspólnoty i siły. Budują tożsamość. Zabezpieczają przed rozmywaniem się tradycji. Ale z drugiej strony – stają się środkiem nacisku i przymusu. Opresją. Pretekstem do anatemy.

Papusza doświadczyła odrzucenia i samotności. Była skazana na zapomnienie. Umierała z dala od „swoich”. Jednak tragizm tej postaci (i jej poetycki talent) nie pozwala o niej zapomnieć. Porusza. Inspiruje. Przypomina, że – paradoksalnie – im bardziej grupa usiłuje zniszczyć jednostkę, tym ta jednostka staje się ważniejsza, jej historia – uniwersalna, a głos – zwielokrotniony.

* * *

KATARZYNA KNYCHALSKA

Autorka scenariusza do spektaklu „Papusza znaczy lalka”

„Papusza...” nie jest przeniesioną na deski teatralne biografią Bronisławy Wajs, znakomitej romskiej poetki. To raczej opowieść o kobiecie, która ze względu na swoje pochodzenie, czas, w którym żyje, przekonania, zasady i ograniczenia, jakim hołduje jej społeczność, ale też ze względu na swoją wyjątkowość i osobność, jest odrzucona, poddana ostracyzmowi, wręcz wyklęta...

Na pewno z tego spektaklu można się dowiedzieć czegoś o życiu Papuszy, natomiast – faktycznie – nie takie jest jego założenie. To życiorys gęsty, ciekawy. Mocno tragiczny. Taki, z którym mogą się dziś utożsamić kobiety. Znaleźliśmy tam takie rzeczy, które sprawiają, że staje się to historia bardzo współczesna. Jakbym miała się zastanowić, to najmniej jest to opowieść o cygańskiej poetce. To jest przede wszystkim historia o kobiecie, która ma trudne życie, a paradoksalnie radzi sobie z nim w ten sposób, że tworzy poezję, która nam z kolei wydaje się pogodna, dziecięca, ciepła. I przez to zderzenie jej twórczości z tym, co ją spotkało, tworzy się bardzo ciekawe napięcie.

Rola Papuszy rozpisana jest na sześć kobiet – sześć wrażliwości, sześć cezur wiekowych, doświadczeń. Dlaczego tak?

Zależało mi na takim chórze kobiet, które pokazywałyby kobiecą siłę. Z drugiej strony, zależało mi na tym, żeby wszystkie aktorki mogły pokazać swoją aktorską siłę. Ten świat romski był i jest bardzo męski. Papusza jest najmocniejszą tam kobietą. Gdyby grała ją jedna aktorka, byłby to tak naprawdę jej monodram. Postać wiodąca byłaby bardzo mocna, a nam zależało też na grupowym, wspólnotowym spektaklu.

O wydzźwięku kulturowym, społecznym, ale i feministycznym?

W pewnym sensie tak. Tam są dotknięte przeróżne tematy. Co znaczy przemoc wobec kobiety, także przemoc domowa (wtedy taborowa). Co znaczy, że kobieta nie może mieć dziecka. Co znaczy, że kobieta ma swoje własne marzenia, które nie zgadzają się z przeznaczonym dla niej planem. Pod tym względem to na pewno



Fot. Karol Budrewicz, Teatr im. Osterwy w Gorzowie

jest bardzo kobiecy czy feministyczny spektakl.

Trzeba jednak pamiętać, że to nie jest historia dokumentalna. To nie jest teatr dokumentalny, tylko metaforyczny. Tam nie można z lupą detektywistyczną śledzić faktów. To historia, która opiera się na faktach, ale jest przetworzona przez wyobraźnię. I tego na żadnym etapie pracy nad spektaklem nie ukrywaliśmy. Podkreślaliśmy to wręcz.

Początkowo baliśmy się trochę, mieliśmy w sobie taką pokorę twórców, którzy wchodzą z butami w jakąś nie swoją działkę, w jakąś lokalną opowieść, z której się nie wywodzą, ale zawsze z tyłu głowy jest takie przeświadczenie, że co prawda nie znamy tej historii na wylot, nie urodziliśmy się we wspólnocie cygańskiej, ale mamy coś w zamian – dystans, który nam pozwala obejrzeć to ze swojej perspektywy i opowiedzieć tę historię, uniwersalizując ją.

JACEK GŁOMB

Reżyser spektaklu „Papusza znaczy lalka”

Kim dla pana jest Papusza?

To ikona współczesnego myślenia o kobietach. Tak o niej myślę.

Rozwinie pan tę myśl?

Papusza miała przerypane w życiu. Była ogromnie nieszczęśliwą kobietą – i to nie tylko w sensie osobistym, ale też społecznym. Miała problem z własną nacją, o czym gorzowianie wiedzą lepiej ode mnie, więc nie muszę tego tematu rozwijać. Jednocześnie potrafiła temu światu sprostać i walczyła o swoją w nim suwerenność. To jest bardzo ważna postawa i dlatego to, co Katarzyna Knychalska napisała na te sześć Papusz, bardzo współgra ze współczesnym myśleniem o kobietach i ich roli we współczesnym świecie.

Opowieść o Papuszy jest opowieścią-wyzwaniem, a spektakl jest naszym spojrzeniem na jej historię.

Fot. Karol Budrewicz, Teatr im. Osterwy w Gorzowie



„Papusza znaczy lalka” – spektakl inspirowany jest postacią Bronisławy Wajs Papuszy i książką „Papusza” Angeliki Kuźniak.

Scenariusz: Katarzyna Knychalska; reżyseria: Jacek Głomb; scenografia: Małgorzata Bulanda; muzyka (na żywo): Bartosz Straburzyński; ruch sceniczny: Witold Jurewicz; obsada: Marzena Wieczorek, Dominik Jakubczak, Maciej Kotlarz, Mikołaj Kwiatkowski, Jan Mierzyński, Oliwer Witek, Magdalena Dwurzyńska, Marta Karmowska, Magdalena Kasperowicz, Joanna Ginda, Tina Popko.

Premiera: 10 września 2022 r.

O NADZWYCZAJNOŚCI ZWYCZAJNYCH ŚWIĄT

Iwona Małgorzata Żytkowiak

Święta Bożego Narodzenia... wydobyte ze wspomnień wciąż jawią się niesamowitą fuzją zapachów, smaków, obrazów i dźwięków, wielką synestezją. Obwarowane przez lata określonymi zachowaniami, przebiegające wciąż w jednakowej scenerii ze stałymi rekwizytami stały się rodzinnym rytuałem, zwyczajem, tradycją, czymś absolutnie naszym – rodziny.

Jestem w owych wspomnieniach małą dziewczynką, która ubrana w specjalnie na tę okoliczność uszytą przez panią Chudzikową sukienkę, z wielkimi kokardami w czarne grochy, z wyczesaną na środku głowy mikrą palmą owiązaną szyfonowymi wstążkami, które wciąż straszły, że przy byle ruchu zsuną się z cienkich włosków ku niepokiesze mamy. Ta zaś – wysztafirowana – piękniejsza niż kiedykolwiek, ponaglała tatę, by jeszcze spakował do torby prezent dla Luci i dzieciaków, bo ona nie zdążyła, by jeszcze wyglansował Krzysiovi buciki, bo to przecież nie do pomyslenia, by w święta nosić unurane buty, by jeszcze podsypał pod paleniskiem w piecu, bo wprawdzie nie będzie nas całe święta, ale dobrze, by choć trochę się w domu nagrzało i kiedy już wrócimy – ciepłej będzie i przyjemniej. I jeszcze posprawdzał, czy gaz wyłączony, czy okna poodmykane... Bo święta w moich wspomnieniach zawsze były białe, śnieżne i mroźne. A potem spieszyliśmy się. Mama, stukając cienkimi szpilkami po wyszczerbionym betonie, ciągnęła mojego brata za rękę, ja zaś przyczepiona do tatowego palta, wdychałam zapach wody kolońskiej i tuliłam się do gładkiej – po goleniu twarzy. Oczywiście mama stukiała, gdy chodniki były odśnieżone, bo jak nie, to zatrzymywała się co rusz, bo buty więzły jej w śniegu, musiała więc przystanąć, by otrzepać obcasy i śnieg z cienkich stilonowych pończoch, bo i bez tego zimno jej było jak jasna pogoda. Za nic jednak nie postuchwała taty, który napominał, by założyła kozaki, a buty dała do toreb, które i tak musiał dźwigać jak wielbłąd, i żadnej różnicy – jedne buty wte i wewte. Mama, nie zważając zupełnie na taty gadanie, drobiła krocuki, nie puszczać ręki Krzysia. Najpierw do babci Kazi, dziadka Józia i cioci Heni (na którą zresztą podobnie jak na do pewnego momentu na siostry mamy nigdy „ciocia” nie powiedziałam). Niespecjalnie lubiłam tam chodzić na święta. Było cicho, a dziadek mało co się odzywał i niezbyt przyjaźnie spoglądał na mojego brata (kiedyś mi mama mówiła, że to przez Henię, która była nieco „inna”, a dziadek nie bardzo mógł to przeżyć, że Krzysiu – to taki mądrusił i filozof, a Henia – niekoniecznie). Mniejsza o to. W każdym razie po krótkim przetamaniu opłatkiem, życzeniach wszelkiego powodzenia i oby kolejny rok nie był gorszy niż poprzedni – zbieraliśmy nasze „sakwojaże” i schodząc ostrożnie po wyrobionych, drewnianych schodach, trzymając się sękatych poręczy, ruszaliśmy dalej.

Do Pełczyc. Czasem było zbyt późno, by gnać na pociąg na koniec miasta. A jeszcze te szpilki mamy i te torby! I ja na rękach! Wówczas, tata silił się na gest! I mijając rynek – zupełnie nieświęteczny, z jedną nieokazałą choinką (nie tak ja dzisiaj – istna feeria barw i świateł), fundował taxi. I choć do Pełczyc było niespełna sześć kilometrów, to czułam, jak mi serce rośnie, jak potężnieją emocje, jak przyciskam się coraz mocniej do taty, który raz po raz rzuca pytanie: A ciekawe, co tam nasza Gosia znajdzie dziś pod choinką? Czy to będzie lala ze szklanymi oczami, które zamykają się i otwierają, czy może spódniczka z falbankami? A może to będzie różga? Mama trącała ojca, by nie wygadał się. A mnie było wszystko jedno! Chciałam tak jechać i jechać przez białą połać łąk, przylgnięta do taty, zerkając na moją piękną niczym Rita Hayworth mamę i mądrego brata.

Dom moich dziadków był niewielki i mieścił się przy ulicy nomen omen może nie Niewielkiej, ale Krótkiej. W środku już było ludnie. Pachniało cynamonem, grzybami, pastą do podłogi i klejami szewskimi. (Te ostatnie zapachy to stąd, że dziadek Stanisław był szewcem i zimową porą pod schodami prowadzącymi do górnej części domu miał swój warsztat). Zanim się spostrzegłam, już do obfitych piersi zagarniała mnie babcia Stasia, wytarłszy wcześniej ręce oblepione pierogowym ciastem o fartuch, który zdradzał wcześniejsze specjały szykowane przez babcinę. Za nią z góry zwiślał wujek Kaziu, który przyjechał z ciotką Ulą wcześniej, by się ulokować na górze z małym dzieckiem. Z malutkiego podwórka, mieszczącego się niejako w środku domu (niczym szumne patio, ale w rzeczy samej było niewielkim poletkiem pod gołym niebem, osłoniętym z każdej strony innymi budynkami), wybiegała zziębnięta ciocia Lucia, przywoływana niecierpliwym głosem swojego męża – Jerzyka. Rwetes, zamieszanie, gwar... Spuszczona z oczu, zdjęta z ojcowych rąk, przemykałam niespostrzeżenie do „stołowego”. Tu było cicho. Tu z radia ustawionego na toalecie sączyła się jakaś kolęda śpiewana przez chór Polskiego Radia. Tu stały połączone stoły przykryte białym obrusem, tak sztywnym od krochmalu, że można było palce skaleczyć o jego rant. Tu pachniało sernikiem, makowcem, ciastem drożdżowym, które to wiktuały stały poukładane w piramidy na paterach, porozstawiane na kredensach, z szybkami odbijającymi kolorowe światełka choinkowych lampek. I lasem tu pachniało. Bo tu też stała choinka, którą dziadek dostał w zamian za zwężenie cholewek i podzelowanie butów miejscowego leśniczego. Wielka i strojna. Spowita anielskim włosiem, co to Ela powiadała, że się lameta nazywa, ale nie wiedziałam, czy ma rację, czy nie. Ciężka od czerwonym jabłuszek, które jedno w jedno wisały na cienkich sznureczkach, od orzechów włoskich, w które dziadek powbijał teksi-ki, by było na czym je uwiązać, od pierników wypiekanych przez ciotki – Ulkę i Elkę, od długich lizaków w pozłotkach, które z lubością podkradaliśmy, bo mały i kusity, lecz potem rzucaliśmy gdzie bądź, bo okazywało się, że co innego patrzeć, a co innego lizać i istotnie – to zgoła nie to samo. Z pierwszą gwiazdką, której znalezienie i obwołanie jej obecności światu należało do mojego brata

Krzysztofa, gromadziliśmy się przy stole. Babcia Stasia z dziadkiem Stasiem, ciocia Lucia z Jerzykiem i małym Wojtusiem, Ela z Waldkiem i Kasią, wujek Stasio z Krysią, Mirkiem i Halinką, wujek Rysio z ciocią Halinką, Jareczkiem i bliźniakami, którzy wcale nie byli jak dwie krople wody, ale całkiem inni – Bogusiem i Mieciem, Ula z Kaziem i Anią, no i my. A iluż jeszcze nie było, bo dopiero miało przyjść się im narodzić: Pawełkowi, Łukaszкови, Robciowi, Dorce i Asi.

I Bóg się rodzi szło pod niebiosa, i *Jezu malusieńki*, i *Lulajże Jezuniu*... – jak kto umiał, tak Boga nowonarodzonego wychwalał... Ciocia Zosia – fałsetem, bo głos miała wyrobiony po miejscowych chórach, mama moja faszowała nieco, bo to Bóg – owszem urodę jej dał, ale talentu do śpiewania poskąpił, wujek Stasiu trąbił głosem silnym wyrobionym w tancbudach i po weselach, babcia zawodziła, czasem wpadając w drażniące ucho jodłowanie.

Tata przygrywał nam wszystkim na akordeonie, wujek Stasiu wtórował mu na swoim, który był proporcjonalnie w stosunku do postury większy od tatowego. (Tata był filigranowy i drobny i miał weltmeistra osiemdziesiątkę. Był na strychu dziadków. Wujek Stasiu – słusznej postury, wołaliśmy na niego Pasibrzuch i w zabawie przewalaliśmy się po jego krągłym jak piłka brzuchu – grał na sto dwudziestce i nie wiem, jak ją przytargał aż z Kudowy, bo tam chyba mieszkał wówczas). Dom trząsał się w posadach od wychwalania i podziękowań za Pańskie Narodzenie.

O północy chmarą całą jak szeroka Krótka, szliśmy na pasterkę. Całą rodziną. Ramię przy ramieniu. W powietrzu unosiły się śpiewy, w oknach mijanych domów błyskały światełka, śnieg skrzypiał pod butami, mróz skrzył się na płotach, drzewach... Wujek Waldek rzucał nam pod stopy kapiszony. Szliśmy więc w podskokach. I czuliśmy, że jesteście Rodziną, która silniejsza jest niż cokolwiek na świecie.

A któregoś lata stało się – odszedł dziadek, potem babcia. A innego listopada... stało się, że odszedł Tata, a kolejnego męża mama, a potem jeszcze jego tata... I już nic nie było takie samo. I naraz stałam się bardzo dorosła. Teraz na mnie spoczywa owa powinność – podtrzymywanie rytuałów, tworzenia świąt, tworzenia magii, tkania materiału na wspomnienia dla moich dzieci, wnuków...

I tego, by on – ten materiał – był piękny i bogaty – tego sobie, jak i Wszystkim – moim – życzę.

IWONA MAŁGORZATA ŻYTKOWIAK: mieszkająca w Barlinku pisarka, polonistka i filozofka. W jej życiu najwięcej miejsca zajmują: rodzina, praca i pasja. Opublikowała wiele powieści obyczajowych (m.in. *Tonia*, *Kobiety z sąsiedztwa*, *Tam, gdzie twój dom*, *Świat Ruty*, *Matka swojej córki*, *Czas Łucji*, *Zamknij oczy*, *Epizody z życia mojej mamy* i *Niechciane*) oraz tom wierszy *Żywot jętki*. Należy do Związku Literatów Polskich.

Lech Jakubowski

milczę
biję się z myślami
dwa kierunkowskazy naraz
myślę słowami
rozmowa wewnętrzna niekontrolowana
stek sofizmatów
wymiotuję myślami
niczym gotycki rzygacz deszczówką

angażuję cały zespół mowy
w solilokwium
monolog niewypowiedzianych rozmyślań
słowa słowa słowa

rozmawia dwóch
dialog
rozmowa z wróbelkiem
jeśli nie jesteś świętym Franciszkiem
zwróć się do specjalisty
rozmowa trzech
trialog

duża rodzina 2+3 przy obiedzie
pentalog
rozmawia dziesięciu
dekalog

Mojżesz ciska tablicami
Kieślowski zaciera ręce
będzie robota
gwarzy przy posiłku trzynastu
ostatnia wieczerza
prowadzę lekcję
zastuchane dzieci
ważne każde słowo
mówi kilkuset naraz
pauza w szkole
smog akustyczny
strudzony dyżurny belfer

PRAGNĘ O TOBIE PISAĆ

Łucja Fice

Pragnę o Tobie pisać finezyjnie, z wycieniowanym lirycznym okrucichem. Pragnę okryć Cię słowami, bo nie masz teraz nawet procenta materii, jesteś ścięciem wspomnień, deseniem, może elektromagnetyczną falą. Jesteś już pustą klepsydrą. Jesteś inny, już nie mój, a tylko swój własny. Masz teraz podgląd na pewność, pewność niebycia TU. Możesz we mnie zaiskrzyć prądem, zapalić świecę, zrzucić kalendarz, przesuwać sekundnik zegara. Zamykam Ciebie w nawiasie tego tajemniczego labiryntu, w którym tkwiliśmy ostatnie lata. Spotykaliśmy się na chwilę i szukaliśmy po omacku. Choć minęło kilka lat, chcę z Tobą porozmawiać o mojej tęsknocie, bólu samotności, ale jesteś zbyt daleko, by mi się nawet śnić. Przenicowałeś się na drugą stronę, na planetarne chybił trafił, w ciszę Procol Harum. Do kogo mam teraz mówić? Zapraszam Cię do laboratorium snów, do tej ciszy Bacha, która już powstaje za dnia, a w nocy może zaistnieć z kryształków wyobraźni. Wejdźmy tam razem po schodkach, a później na prawo. Drzwi są otwarte. Bądź mi świadkiem bez garnituru, powróz mi z gwiazd, ułóż tarota. Jesteś mi to winien po wszystkich krzywiznach życia. Rozmawiać mogę z Tobą tylko w czasie snu. Choć sny są nierzeczywiste, mogą być prawdziwa, choć mogę wydawać się we śnie nieprawdziwa, to będę rzeczywista. Na razie doprowadzasz moją tęsknotę do wrzenia. Tak! To ważne, ważniejsze nawet od Twojego cienia. Spotkajmy się w sekrecie. Obiecuję, że będę pięknie milczeć, choć chcę wiedzieć, co jest za granicą zdarzeń. Czy widzisz, że jestem jak śnięta ryba, pojedyncza, odrębna. Czy będziesz chciał przeprowadzić analizę snów w moim laboratorium? Zapraszam, przyjdź rano i obudź mnie. Zaparzę kawę, tak jak mnie uczyłeś...

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarzach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie, Wyspa starców, Za kryształowym lustrem*) oraz wspomnień *Druga strona grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.

Łukasz Terlecki

żeby dobrze zrozumieć wiersz
trzeba mieć trochę
czasu
dlatego mnisi rzadko czytują poezję
nie mówiąc już o pisaniu
– wszak drepczą przedsiódkami
Wieczności

Gdybym umiał rozpoznawać kolory chwil,
chodziłbym drogami prostymi,
tymczasem wciąż gubię smak pokrzyw,
polnymi ścieżkami wracając tam,
gdzie być może nowe,
a nie jest



2013

Łukasz Terlecki

* * *

Jedni wyjeżdżają na wieś,
by zaznać ciszy,
inni jadą do miasta,
by chłonąć jego szum.

Ja zawisłem między światami
– nie znajduje mnie tu nikt –
słowami

* * *

Ta zwykłość codzienności,
ta pewność, że jutro będzie to samo,
że tylko momenty i chwile są różne.
To uwyciecznienie codzienności sprawia, że topi się
Miłość do niej.
A przecież kochać codzienność swoją,
to zadanie życia.
Dostrzeganie jej uśmiechu i zmarszczek,
jej kiepskich humorów i radości,
jej delikatności nawet, gdy się złości.
I mówienie jej o tym, że choć z czasem
flirtuje, jest najważniejsza
i piękna dla mnie.
Jest tak dla mnie, jak i ja dla niej
zachwytem istnienia.
Zmieniam się ja i ona zmienia dni całe
w zakochanie myśli z ciałem.
Codzienność zwykła jest cudem
powtarzalnych prób wieczności

ŁUKASZ TERLECKI: politolog, poeta, autor *Krzywych myśli*. Pochodzi z Trzciela, obecnie mieszka w Niemczech. Od 2020 roku udostępnia swoją twórczość w mediach społecznościowych. Inspiracje czerpie z życia: obserwacji ludzi i natury.

OSIEDLOWY

Mirosława Szott

Kiedyś działał inaczej. Zanim pierwszy raz podrzucił śmieci, jeździł regularnie na wysypisko. To był rytuał: druga środa miesiąca, prawie odświętne ubranie. W pewnym momencie uznał, że nie ma w tym żadnej wirtuozerii. Zawsze widział obrażony wzrok dziadów z wysypiska, że muszą mu otwierać bramę. Wymyślił coś innego. Był ciekawy reakcji Jarka, byłego wojskowego, który zamieszcza codziennie foty, że ktoś klucza do pergoli zapomniał, a pudełka po śledziach walają się pod blokiem. – No to macie – mówił do siebie z satysfakcją. Nie wiedział, skąd u niego pojawiała się od czasu do czasu taka ostra chęć bycia w poprzek, trollowania osiedlowej społeczności. Uznał, że to jego kolejny, lokalny eksperyment. Wszystkie reakcje zaczął zapisywać w swoim kalendarzu i dzielić sąsiadów na różne grupy. Badania zatytułował „wrażliwość śmieciowa na ulicy Łukasiewicza”. Dodał jeszcze w nawiasie „Ignacego”, bo w końcu Łukasiewiczów było sporo, a zależało mu na wynalazcy. Liczył, że odkryje jakąś prawidłowość. Może nawet zbliży się do tajemnicy ludzkiej egzystencji. Jak na razie najwięcej uwag miał w rubryce „Jarek” i zbliżał się co najwyżej do tajemnicy egzystencji starego trepa na emeryturze.

Nie mógł się doczekać, kiedy fejsbukowo-osiedlowa grupa rozgrzeje się wokół tematu tzw. śmieciarza. Aktualizował stronę parę razy na godzinę. Stukał paznokciami w blat stołu. Na razie nic. Tylko jakieś słabe ogłoszenia typu *zamknij sąsiad drzwi w swoim peugeocie*. Ależ go to wkurwiało, że ludzie nie potrafią się skupić na ważnych sprawach. Grzeją tylko dupy w 49 metrach kwadratowych. Zostawił wczoraj trzy otwarte wiadra białej farby pod śmietnikiem i kilka zużytych opon, nie miał nic gorszego pod ręką.

Z samego rana zrobił kilka zdjęć. Ale jeszcze chciał dać komuś szansę na posta. Liczył na spacerowiczów z psami. Jarek nie zawiódł. Nareszcie. *Sąsiedzi, nie mogą już z tymi syfiarzami. Znowu ktoś podrzucił opony i wiadra z farbą. Czy ma ktoś nagranie z kamery samochodowej? Jestem gotowy zgłosić to na policję. Albo załatwić sprawę własnoręcznie*. Temperatura powoli rośnie. Poza inwektywami, które nie robią wrażenia, widzi też komentarze z propozycjami rozwiązań. Sam postanawia podrzucić jakiś pomysł. – Cześć, może posprzątam to razem? Mam duży samochód, więc mogę załadować te opony, ale też może warto uprzątnąć okolice z butelek itd.? Edytuje komentarz: „uprzontnąć”. Żeby nie było że inteligent i super wyedukowany, bo nikt się nie podejmie współpracy i u niewiast notowania spadną. Kilku najbardziej przypakowanych sąsiadów od razu się zgłosiło. Parę niezłych sąsiadek 40+ dodało serduszka. I kręci się interes. Jest bohaterem. Zawiózł swoje opony i trzy wiadra farby na wysypisko. Atmosfera wdzięczności i bezinteresowności go buduje. Robi kolejne zapiski w kalendarzu. Może za dużo filozofii do wszystkiego wciska. Ale jest w końcu filozofem.



MIROŚŁAWA SZOTT: poetka, krytyczka literacka, literaturoznawczyni, autorka tomików poetyckich (*pomiary Zamku, Anna*) oraz monografii naukowej *Czytanie miejsca. Poezja lubuska w perspektywie geopoetyki*. Moderuje spotkania autorskie, uczestniczy w gremiach konkursów literackich, organizuje warsztaty pisarskie, wspiera projekty wydawnicze, ale przede wszystkim lubi niespieszne rozmowy z napotkanymi ludźmi. Obecnie mieszka w Zielonej Górze.

Jolanta Karasińska

Święta

w poszukiwaniu magii świąt
przeliczam odbicia światełek
w szybie zgaszonego dnia
zbudzona radość
uwalnia uśmiech
budzi tradycję
odnajduje zagubione gwiazdy

Codziennosc

twój śmiech wypełnia dom
choć nie zawsze jest do śmiechu
nad słuchuję kroków
i pytania – może kawa?

nadmiar ciastek dostadza
chwile zwątpienia
przedłużając opowiadany sen

wszystkim jest dobrze
i kot nie nudzi się zbytnio

ileż wywodów i prawd życiowych
poległo przy blacie kuchennym
pośród bananów
i egzotycznych przypraw

dziś nie zastanię żaluzji
nie zgaszę światła
oznaczę drogę do domu
w oczekiwaniu na kolejny dzień

JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała cztery tomiki poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią poznańskiego oddziału ZLP. W 2019 roku za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

KIEDYŚ TO BYŁY DESZCZE

Jerzy Hajduga

Dosłownie i w przenośni. Pamiętam wieczór, już byłem po duszpasterskich obo-
wiązkach, a tu telefon od moich uczniów próbujących pisać wiersze: „Proszę
księdza, to my, deszcz wreszcie pada, idzie z nami ksiądz na spacer?”. I poszedłem.
Byliśmy szaleni, nie bacząc na różnicę wieku, czuliśmy się w swoich pomysłach
jak nie z tej epoki prawdziwi poeci.

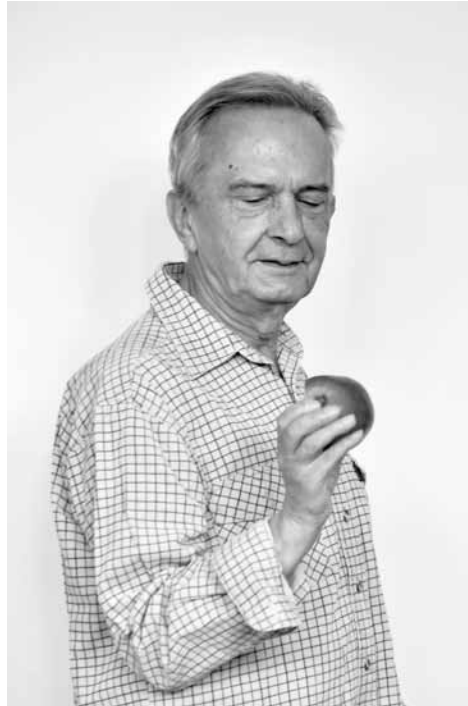
Po deszczu w oczach

nawet najmniejsza
kropla
z nas

Wigilie

łamiemy się sobą
co znowu upadło
podnosimy

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuścić od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odcho-
dzenie* (2022). Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego „Ten pusty krzyż” wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.



Fot. Hanna Kaup

ZNIKAJĄCY LUDZIE

Danuta Szulczyńska-Miłosz

Przyjazd do Leśniewa był równoznaczny z porzuceniem gwaru wielkomiej-
skich ulic, znajomych i przyjaciół z pracy, hipermarketów, w których można było
kupić wszystko, począwszy od pieczywa i dżemu, na wycieraczkach samocho-
dowych skończywszy. Wiązał się z pozostawieniem za sobą zatłoczonych kawiarni,
restauracji pachnących rozgrzaną oliwą i ulic nagrzanym stołcem. W zamian do-
stałem piaszczyste drogi, które jesienią stawały się nieprzejezdnym bagniskiem,
sklepiak, w którym prócz piwa i pieczywa, można było dostać również znicze, pa-
pierozy i płyn do kąpieli o zapachu zielonego jabłuszka. We wsi znajdował się
także ogrodzony kamiennym murkiem mały kościółek, w którym ksiądz z mia-
steczka celebrował niedzielne msze, pogrzeby i pierwsze komunie.

Oswajałem się z nowym środowiskiem powoli. Chłonałem ciszę, obce za-
pachy, takie jak zapach skoszonej trawy, kwitnącego rzepaku lub bardziej pro-
zaicznie – zapach krowiego łajna, na które można było się natknąć na drodze
przy pastwiskach. Potem zacząłem słyszeć dźwięki, które przełamywały wiejską
ciszę. Szczekające psy, drące się koty, cykające świerszcze. Ptactwo domowe
i dzikie także robiło swój hałas. Wszystkie te brzmienia wyłoniły mi się z lepkie-
go bezgłosu dopiero wówczas, gdy przestałem tęsknić za szumem samochodów
i dzwonieniem tramwajów. O ile na początku zasypiałem niemal natychmiast
po położeniu się do łóżka, to z czasem zacząłem się koncentrować na kierunku,
z którego dochodzą obce tony, co kończyło się zwykle bezsennością i tarzaniem
w rozgrzanej pościeli do białego rana.

Po jakimś czasie najgłośniejszy stał się dla mnie szum pobliskiego lasu,
który po każdym większym powiewie wiatru, wygrywał swoje melodie. Inaczej
szumiały dęby, inaczej wysokie sosny, jeszcze inaczej brzozy. Całość tworzyła
przedziwną symfonię dźwięków, w której dostuchiwałem się innych, być może
obcych, może złowrogich. Mieszkanie na pustkowiu ma swoją cenę. Spokój za
niepokój. I odwrotnie.

Las zaczynał się zaraz za moim domem, kusił zapachem nagrzanego igliwia
i mnogością kolorów. Wkrótce swoje spacerzy, zamiast do wsi, zacząłem kierować
w zielone skupiska drzew. Sam. Nie potrzebowałem towarzystwa, właściwie to
nawet go sobie nie życzyłem, chociaż nie miałem wpływu na to, że jesienią na le-
śnych drogach zaczęły pojawiać się stojące pod drzewami rowery, zaparkowane
samochody i ludzie z koszykami pełnymi grzybów. Podgrzybków, kozaków, kurek
i jeszcze jakichś innych, których nie znałem. Przez całe swoje życie nigdy nie zbie-
rałem niczego, co można nazwać darem natury. Grzyby, te suszone, kupowałem
w markecie, maliny jadłem pod postacią słodkiego dżemu, a z jabłek najbardziej
smakował mi sok z kartonika. Nie mogłem jednak nie doceniać tych dobroci.

Fot. Agnieszka Moskaluk



Kiedy któregoś dnia natknąłem się na starszą kobietę handlującą świeżymi grzybami, kupiłem mały koszyk, wcześniej wystuchawszy historii o tym, jak trudno w tym roku znaleźć cokolwiek.

– To przez suszę! Pamiętam lata, kiedy na środku drogi grzyby rosły, a teraz to trzeba się nieźle nachodzić.

Przyznałem jej rację. Gorąco i susza w tym roku były wyjątkowo dokuczliwe. Kobieta znalazła słuchacza i wyraziła kolejną opinię.

– Tak samo zioła! Tyle ich uschło, zanim zdążyłam pozbiierać!

Zaintrygowała mnie. Miejscowa zielarka?

– A to ciekawe! – Odezwałem się nieśmiało. – Jakie zioła pani zbiera?

– A różne! Na kaszel, na gorączkę, na chorą wątrobę, na trawienie.

Nie znałem się na tym, nie zadałem więc pytania które na co. Bardziej ciekawiło mnie, skąd u niej taka wiedza. Zapytałem o to.

– Moja matka mi to wszystko pokazała, a matce jej matka. Ja mówiłam o tym swojej córce, ale ona...

Urwała nagle, jakby nie chciała dalej mówić. Posmutniała.

Spojrzałem na jej spracowane ręce, na twarz pooraną zmarszczkami i strój, który wyglądał jak wyjęty ze starej fotografii. Zapragnąłem nagle być dla niej miły, najmiłszy na świecie.

– A może... Może zabrałaby mnie pani kiedyś na taką wycieczkę do lasu? Chętnie się czegoś dowiem, nauczę. Może nawet odważy się samodzielnie pójść na grzybobranie? Lub zacząć zbierać zioła?

– Pan? – kobieta nie kryła zdziwienia, za którym stało też rozbawienie. – Pan jest miastowy. Nie czuje pan tego. Ja się całe życie uczyłam, co na co pomaga, a pan chciałby od razu?

– Nie chcę od razu i nie chcę wszystkiego! – starałem się zamaskować zdenerwowanie. – Troszkę tylko. Na grzybach chciałem się poznać przede wszystkim. Często jestem w lesie, to pobieram sobie.

Patrzyła na mnie uważnie, jakby nie wierzyła. Chyba jednak ocena mojej osoby wypadła na korzyść, bo – ku mojemu zdziwieniu – zgodziła się.

– Będę czekać jutro pod pana chałupą. Tylko niech się nie spóźni!

– Ale muszę wiedzieć o której!

Pokiwała z dezaprobatą głową i zamruczała do siebie.

– Zegarki, telefony, internety... Na co to komu, skoro wszystko gołym okiem widać? Cały świat widać! Niech czeka, jak słońce zobaczy między wieżą kościoła a sosną, co przy drodze rośnie.

Postanowiłem sobie, że na wszelki wypadek będę czekał od świtu, żeby nie przegapić słońca między kościołem a wskazanym drzewem.

– Nie spóźnię się. Może być pani spokojna.

Rankiem okazało się, że umówiony czas, to o tej porze roku godzina siódma trzydzieści. Nie spałem od piątej, więc nie było problemu. Zdążyłem wypić dwie kawy, zjeść porządne śniadanie, na które składały się jajecznicza z wiejskich jaj i gruba pajda chleba z masłem.

– Zmieniam się – myślałem o tym od dnia, kiedy osiadłem w Leśniewie. – Zmieniam się, bo wchłania mnie ten sielankowo-wiejski organizm. Staję się jego częścią, chociaż go jeszcze nie znam. Ani ludzi, ani miejsc, ani ich zwyczajów. Ale zaczynam nim tętnić.

Trochę mnie to przerażało, a trochę bawiło. Nie przypuszczałem, że zmiana życia może zmienić i mnie, a tym bardziej moje kulinarne upodobania, czyli miłość do świeżutkich croissantów z serem camembert, na którym niezmiennie spoczywały brzoskwiniowe powidła. Tymczasem coraz częściej jadłem po prostu to, co udało mi się dostać w wiejskim sklepiku. Odłożyłem marzenia o szynce prowansalskiej, o papryczkach jalapeño i oliwkach nadziewanych anchois. Zastąpił je boczek, smalec, twaróg „od chłopa” i ryby złowione w pobliskim jeziorze. Leszcze pachniały mułem i miały ości więcej niż mięsa, ale... Ale miało to swój urok i jeszcze nie skręcało mi trzewi z tęsknoty za dawnym życiem. Nowe, póki co, traktowałem jak przygodę.

Zobaczyłem ją na zakręcie drogi, jak szła powoli, niosąc w rękach dwa puste kosze. Ubrana była w ciemnoszarą spódnicę i wełniany sweter we wzorki. Na głowie miała chustę w kwiaty. Tę samą, którą widziałem wczoraj.

Wziąłem ze sobą przygotowany wcześniej mały koszyk, nożyk kuchenny z krótkim ostrzem i wyszedłem naprzeciwko niej.

Nie przyspieszyła kroku. Szła równym tempem i oglądała rosnące przy drodze trawy.

– Dzień dobry! – wyciągnąłem do niej rękę, której nie uściśnęła. – Jestem punktualnie!

– A co to znaczy, że punktualnie?

– No... Że o umówionej porze.

Wzruszyła ramionami. Terminarz czy kalendarz chyba były jej obce, tak samo jak „zegarki, telefony, internety”. Przyjrzałem jej się dokładniej. Miała ogorzłą od słońca i wiatru twarz, grubą skórę odporną na zmienne warunki pogodowe, poorane zmarszczkami czoło, spod którego patrzyły na świat jasnoniebieskie, bystre oczy. Nie byłem w stanie oszacować jej wieku. Patrząc na zgarbioną sylwetkę, mogła dobiegać osiemdziesiątki, ale i mogła mieć mniej, zważywszy na ciężkie, fizyczne prace, które wykonywała. O tym akurat byłem przekonany. Wystarczył jeden rzut oka na jej zniszczone dłonie.

– Co ma pani w planach zbierać dzisiaj?

Jak tylko wybrzmiało to pytanie, zrozumiałem jego bezsens. Ona nie miała planów. Ona zbierała to, co znajdowała. Nie odpowiedziała mi, czego zresztą się spodziewałem.

Las powitał nas zielonością koron i złoto-brązową ściółką, która szeleściła pod nogami. Pod moimi, bo kobieta zdawała się unosić w powietrzu. Jej krokom nie towarzyszył żaden hałas, jakby omijała zeszcłte liście i połamane gałązki. Co rusz się schylała, chcąc z bliska przyjrzeć się jakiejś roślinie czy robaczkowi, które ja rozdeptywałem bez żadnej refleksji nad życiem tych stworzeń. Nie patrzyła na mnie, ale po chwili przekonałem się, że i tak wszystko widzi.

– Ciężko nogi wyżej podnieść?

– Słucham?

– Pytam, czy ciężko mu nogi podnosić? Bo zabija wszystko dookoła. Życie innych się nie liczy?

Nie wiedziałem, co mam zrobić. Przecież jakoś muszę poruszać się naprzód, nie poprunę!

– Staram się uważać...

– Za słabo.

Od tego momentu wlokłem się za nią żółtym tempem, starając się nie robić wokół siebie spustoszenia i licząc na to, że nie będzie mnie tak uważnie obserwować, że niczego nie usłyszy. Zauważyłem, że stanęła. Ja również się zatrzymałem. W lesie zrobiło się teraz bardzo cicho. Odwróciła się do mnie i spojrzała zaczepnie.

– Tyle śmierci wokół zostawia...

– Ja...?

Pokiwała tylko głową i skinęła do mnie, abym podszedł bliżej. Zajrzała do mojego pustego kosza, a ja rzuciłem okiem na jej. Kiedy to się stało? W koszykach miała grzyby, wiązki jakichś roślin, nakrapianą skorupkę maleńkiego jaja, patyki, korzenie.

– Ale jak? Kiedy?

Nie mogłem wyjść z podziwu.

– Nie widział?

Nie widział. Okazało się, że nic nie widział. Poczułem się jak idiota i bardzo chciałem zatuszować to wrażenie, aby i ona o mnie tak nie pomyślała.

– Co to za zioła? I po co pani skorupka po jajku?

Popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Ech, wy młodzi... Łykacie te swoje pigułki, pieniądze marnujecie, dla własnej pracy nawet nie macie szacunku. Wszystko, co natura daje, jest dobre. To na leki. Na maści. Na nalewki. Alkohol pije?

– Jak każdy.

Znów pokręciła głową i chyba uśmiechnęła się pod nosem.

– Wracamy.

– Ale ja nic nie mam!

– Nazbiera jutro.

Nazajutrz czekałem na nią o tej samej porze, niecierpliwie spoglądając na słońce. W nocy źle spałem i miałem wrażenie, że pod powiekami wciąż wirują mi drobinki snu, które uwierają jak niewidoczne ziarenka piasku. Całą noc śniły mi się zeschnięte liście, kawałki kory i połamane patyki leżące na zgniętozielonej ziemi. Spomiędzy nich wychodziły maleńkie pająki, chrząszcze i robaki.

Kobieta pojawiła się „punktualnie”, czyli w momencie, gdy słońce przesunęło się między wieżę kościoła a sosnę. Tym razem także niósła dwa kosze i byłem pewien, że nie wróci do domu z pustymi.

– Dzień dobry!

Przystanęła na mój widok i sięgnęła do koszyka, wyjmując z niego butelkę jakiegoś płynu.

– Niech schowa w domu, zanim pójdziemy dalej. To nalewka.

Niepewnie chwyciłem butelkę, nie będąc do końca przekonanym, czy dobrze robię. Może to mi zaszkodzi? Po chwili pomyślałem, że wcale nie muszę tego pić. Liczy się gest.

– Dziękuję bardzo! A na co to jest?

– Na człowieka.

Nie wiedziałem czy to żart, czy przejęzyczenie, czy może jeszcze jakaś inna forma, której nie rozumiałem. Na wszelki wypadek natychmiast postanowiłem

Fot. Agnieszka Moskaluk



sobie w duchu, że do ust tego nie wezmę. Cofnąłem się do domu i zostawiłem butelkę na kuchennym blacie. Kobieta nie czekała na mnie. Szła spokojnie, swoim równym wolnym tempem, pochylona i skupiona. Dogoniłem ją. Chciałem ją coś podjąć ten temat, ale zabrakło mi odwagi.

– Mieszka pani sama?

Milczenie, jakby nie chciała tego pytania usłyszeć. Dopiero w lesie odezwała się do mnie.

– Ukłoń się. Ja się całe życie kłaniam. Chodzę z głową w dół, w pokorze. Bez tego, niczego nie znajdziesz. To ważne, aby powiedzieć przyrodzie „dzień dobry”.

Postusznie schyliłem głowę i poczułem się, jakbym wchodził do świątyni. Las wyglądał magicznie. Przez wciąż gęste korony drzew delikatnie snuło się światło, rzucając cienkie promyki na podłoże. Resztki mgły snuły się nam pod stopami i odfruwaly z każdym stąpieniem. Pajęczyny, pokryte kropelkami rosy tworzyły precudne firanki, mieniące się blaskiem porannego słońca. Zaparło mi dech. Spojrzałem na nią, chcąc sprawdzić, czy czuje podobnie, ale ona po prostu szła. Sunęła bezszelestnie, pochylona i pokorna.

Tym razem starałem się trzymać bliżej niej i nie robić hałasu. Nie strącać nerwowo z siebie pajaków, nie wymachiwać rękami.

Ona tymczasem schylała się po kolejne grzyby, za każdym razem mając też w dłoni jakieś zioła.

– Na co są te?

– Na spokój.

– A tamte?

– Na różne bóle.

– A jak się nazywają?

– Nazywają? A po co to komu? Ważne, że działają.

Musiąłem przyznać jej rację. Mój koszyk nadal był jednak pusty.

– Patrzy i nie widzi! – zniecierpliwiona pokazała mi palcem dorodny grzyb, którego o mały włos nie kopnąłem. – No niech się schyli i go do koszyka włoży!

Natychmiast wykonałem czynność. I wtedy mój wzrok jakby się poprawił.

Długo oglądałem dorodny okaz i po chwili zauważyłem kolejne.

– Mam!

– Nie trzeba krzyczeć. Przecież widzę. Las ma swój porządek, harmonię i spokój. Nie wolno go burzyć. Od wieków wszystko tu jest takie samo i w zgodzie ze sobą żyje. Ma własne obrzędy i rytuały. Ważne są. Święte. Szanuj je, bo inaczej zwrócą się przeciw tobie.

Opuuszczając las, z satysfakcją patrzyłem na swój kosz. Dno zakrywały najprawdziwsze borowiki! Kobieta miała zapetnione oba. Znów ze zbieraniną wszelkich innych dóbr natury.

– Proszę mi powiedzieć, po co pani te patyki i korzenie? Rozumiem, że zioła, że skorupki, z których pani coś przyrządza, ale gałęzie? Kora? Dlaczego?

Przeciągłe westchnienie oznaczać pewnie miało, że i tak niczego nie zrozumiałem. Nie powtórzyłem pytania. Ani tego, ani poprzednich, na które nie otrzymałem odpowiedzi.

– Czy jutro się zobaczymy? – uśmiechnąłem się, bo pytanie zabrzmiało jak zaproszenie na randkę.

– Jutro się nie uda.

Wieczorem uraczyłem się smażonymi na maśle prawdziwkami. Jak żyję, nie jadłem niczego bardziej wykwintnego. Aż zapragnąłem opić ten sukces i wzmocnić wrażenie poczucia się kimś wyjątkowym. Nie miałem jednak niczego – przez wyprawę do lasu zupełnie zapomniałem o sklepie. Wzrok mój jednak spoczął na nalewce. Na człowieka... Czyli, że jak? Leczy wszystkie dolegliwości, czy chodzi tu o coś innego? Odkręciłem korek i do moich nozdrzy doleciał delikatny zapach alkoholu pomieszany z aromatem ziół i szyszek. Zapach lasu. Powietrza. Ziemi. Wciągnąłem go głębiej, aby doszukać się w nim kolejnych nut, ale na próżno. To znaczy były, ale nie umiałem ich nazwać. Przypomniały mi się jej słowa. „Po co komu nazywanie? Ważne, że działa”. Nie zaryzykowałem jednak. Po kilkunastu minutach wpatrywania się w butelkę i nieudanych próbach analizy włączyłem telewizor i gapiąc się bezmyślnie w ekran, usnąłem, nie zdejmując nawet ubrania.

Obudził mnie odgłos kropel deszczu stukających o parapet. Całe niebo zasnuwane było sinymi chmurami i zanosiło się na całodziwne opady. To dlatego

dzisiaj miało się nie udać. Ona to wiedziała. Bez telewizyjnych prognoz. A ja, nie dość, że na chwilę zapomniałem o osiągnięciach cywilizacji, jakimi są internet czy radio, w całym swoim wygodnictwie nie zerknąłem nawet w komórkę, aby sprawdzić pogodę, bo zwyczajnie mi się nie chciało.

Po śniadaniu pojechałem po zakupy. Wieś była wyludniona, jednak w sklepie zastałem kilku mieszkańców, którzy niespiesznie robili sprawunki. Jak zawsze, patrzono na mnie z zainteresowaniem i, jak zawsze, wyczułem dystans, który nas dzielił i którego nikt nie chciał skracać. Tym razem jednak odważyłem się zagaić.

Sklepową, pani Kazia, wydawała się być serdeczną i miłą kobietą. Zauważyłem, że mieszkańcy opowiadają jej o swoich planach, zwłaszcza kulinarnych, a ona podsuwała im pomysły, co zrobić na obiad i pokazywała produkty, które jej, zdaniem, były godne uwagi, sprawdzone i świeże.

– Pani Kaziu, zna pani tę kobietę, taką starszą, zawsze chodzi w chuście, zbiera zioła? – Stankowiakową? No pewnie, że znam. A pan to mógłby już wiedzieć, że tutaj wszyscy się znają. Od pokoleń. A dlaczego pan pyta?

– Wczoraj na grzybach razem byli!

Odwróciłem się w kierunku głosu. Mężczyzna koło sześćdziesiątki, w berecie i kufajce, bez ostentacji patrzył mi w oczy. Coś takiego! Nie spotkałem wczoraj nikogo, a on wiedział.

– Tak. To prawda. Byliśmy razem w lesie.

Pani Kazia sprawnymi ruchami wydała mi resztę i kasa z brzękiem się zamknęła.

– Od niej to lepiej z daleka. To wiedźma. Tak ludzie gadają.

Poczułem lekki gniew.

– A pani przypadkiem nie?

– Pytał pan, to odpowiadam – na jej twarzy nie było ani śladu uśmiechu.

– Żadna wiedźma, tylko znachorka! – mężczyzna w kufajce znów zabrał głos. – Uratowała mi rękę, jak mi sieczkarnia poharatała. O! Patrz pan!

Przyglądam się ręce pokrytej grubymi bliznami.

– A jak pomogła?

– Normalnie! Dała mi jakieś maści, smarowałem, piłem jej zioła i proszę! Ręka działa, a mówili, że do końca życia żadnym palcem nie ruszę.

– A lekarze z Lublina to przypadkiem nie wysłali pana na rehabilitację?

– Wysłali i co z tego? Po tych maściach nie musiałem nigdzie jechać. Zwłaszcza że termin mi dali za pięć miesięcy dopiero. Po takim czasie to jak umarłemu kadzidło!

– Panie Marczak, bzdury pan pleciesz. Rozmawiałam z pana żoną i mówiła, że tylko cztery miesiące czekania.

– Cztery to jest tylko? Pani kochana, jak od razu nie zacznie się robić, to potem nic z tego!

Chciałem przerwać tę dyskusję, która niczego nie wносиła.

- A ta kobieta, ta Stankowiakowa, ma jakąś rodzinę?
Mężczyzna się odwrócił, a pani Kazia z satysfakcją patrzyła w jego plecy.
- Ma, ma! Pewnie że ma! Boską można powiedzieć!
- Jaką?
Powoli miałem dość tych toksyn i zagadek.
- Boską! Bo, proszę pana, Stankowiakową to podobno jakiś wikary machnął. Jej matka miała z nim romans. Wszyscy to wiedzą. Ksiądz potem wyjechał, a jej matka, świeć Panie nad jej duszą, z brzuchem została. Z tego nie mogło nic dobrego wyrosnąć. Mamy więc we wsi czarownicę. Co nie, panie Marczak?
Pani Kazia śmiała się, ale mężczyzna nie zareagował. Wyszedł ze sklepu. Złapałem go przy moim samochodzie.
- Podwiozę pana. Tak leje...
- A po co mnie tam wozić? Z cukru nie jestem.
Otworzyłem szeroko drzwi.
- Proszę.
Marczak usiadł ostrożnie, jakby bał się, że swoją obecnością może pobrudzić wnętrze.
- Gdzie ona mieszka?
- Na końcu wsi. Przy drodze, gdzie krzyż i kapliczka.
- Dlaczego pani Kazia, taka przecież miła kobieta, nie lubi pani Stankowiak?
- Oj, to nie jest tak, że nie lubi. Nie wiem zresztą. Na pewno się jej boi.
- Zrobiła jej coś?
- Nie wiem.
Ale ja wiem, że wie. Bo tutaj wszyscy o wszystkich wiedzieli wszystko. Deszcz padał coraz silniej, wycieraczki nie nadążały zbierać wody. Marczak uczepił się tego.
- Do wieczora przejdzie.
- Cieszę się, ale niech pan mi powie coś więcej. Zielarka jest córką księdza, nieślubnym dzieckiem swojej matki, która pewnie nie miała lekkiego życia we wsi, co dla mnie jest chore, ale to nieważne. Ona też ma ciężko. O co tu chodzi? Przecież to spokojna i, wydaje mi się, dobra kobieta. Czego trzeba więcej?
- Wie pan, jak to jest. Ona, podobnie jak jej matka, była konkurencją dla naszych bab. Obie były piękne, obie samotne, do obu wielu startowało, więc mężatki czy panny na wydaniu czuły się zagrożone. A gdy zielarka zaszła w ciążę, to już domyśлом nie było końca... Rozumie pan?
- Zaczynam. Dlatego ona jest dla nich czarownicą?
- Mniej więcej. Stankowiakowa ma córkę, chociaż żadnego mężczyzny nikt przy niej nie widział.
- Mieszkają razem?

Fot. Agnieszka Moskaluk



– Nie. Dawno temu gdzieś małą wywiozła. Pewnie dlatego, żeby dziecko nie miało takiego życia jak ona i jej matka. Może gdzieś do dalszej rodziny? Bo przecież musi kogoś mieć. Ludzie nie biorą się znikąd.

– Ktoś do niej czasami przychodzi?

– Nikt. Nawet listonosza nie wpuszcza. Nie jest taka jak inne baby. Nie plotkuje. Nie pyta. Mnie pomogła, bo mnie pod krzyżem zobaczyła i rękę jej pokazałem. Normalnie to ludzie z nią nie gadają, bo się boją. Tylko wtedy, jak kogoś jakiegoś choróbko przyciąśnie. Idą pod krzyż i ona już wie, że ktoś szuka pomocy.

– A z czego żyje?

– Ma jakąś rencinę czy coś. W końcu pracowała w polu, u rolników. Sprzedaje też to, co nazbiera. Pewnie widział ją pan pod sklepem.

Pewnie, że widziałem. Tak się przecież rozpoczęła nasza znajomość. Wyszłam Marczaka pod jego chatupą. Wychodzi powoli, jakby się wahał.

– Jak się pan z nią znowu zobaczy, proszę nie mówić o tym wszystkim. Rozzłości się. Nie zamierzałem. Nie musiał mi tego mówić.

W domu pierwsze kroki skierowałem do kuchni. Wyjąłem zakupy i usiadłem przy kuchennym stole, pośrodku którego stała teraz butelka nalewki. Miała niesprecyzowany kolor. Coś pomiędzy bordowym a brązowym. Była lekko mętna. Ponownie ją powąchałem. Rozpoznałem kolejne nuty. Mech. Brzoza. Tylko po co je nazywam? Zająłem się porządkowaniem papierów, które zalegały na biurku.

Odkurzyłem książki i ułożyłem je w innej kolejności. Próbowałem coś napisać, ale moje myśli cały czas krążyły wokół tej kobiety. Nalałem sobie kieliszek wódki z tutejszego sklepu i czekałem, aż ciepło rozleje się po ciele. Kolejny kieliszek pomógł mi się uśmiechnąć. Po czwartym poszedłem spać.

Tak, jak przepowiedział Marczak, kolejny dzień rozpoczął się czystym niebem. Po wczorajszym deszczu pozostały jednak kałuże i wszechobecne błoto. Pewnie dzisiaj także nie czeka mnie wycieczka do lasu, jednak po założeniu odpowiedniego obuwia zdecydowałem się czekać na Stankowiakową. Ciekawe, jak miała na imię. Może od tego powinienem zacząć znajomość? Słońce minęło wieżę kościoła. Zaraz powinna się pokazać. No, chyba że ma inne plany, nie umawialiśmy się przecież. Zobaczyłem ją jednak już po chwili. Zgarbioną bardziej niż zwykle.

– Dzień dobry! Bałem się, że pani nie przyjdzie.

– A po co to się bać? Szkoda zdrowia. Przyszłabym innym razem. Strach nie jest nikomu do niczego potrzebny. Trzeba żyć teraz. Tu i teraz. Nie ma potrzeby martwić się o jutro i przez to psuć sobie dzisiejszy dzień. Jutro dopiero będzie, a dzisiaj jest. Tym trzeba żyć.

Zaskoczyła mnie tym swoim filozoficznym wywodem. W prostych słowach wiejskiej kobiety wyczytałem głębszą mądrość i... I zupełnie nie wiedziałem, co mam powiedzieć.

Wyciągnąłem do niej rękę.

– Chciałbym naprawić swój błąd. Nie przedstawiłem się, choć powinienem już pierwszego dnia. Jestem Tomasz.

Spojrzała na mnie podejrzliwie. Nie uścisnęła mojej ręki, burknęła jednak pod nosem.

– Wanda.

I to już było coś. Celowo nie przedstawiłem się nazwiskiem, aby nie było to zbyt oficjalne, nadęte.

Przed lasem zatrzymałem się i ukłoniłem nisko. Przez dopełnienie obrządku okazuję należny szacunek. Nie tylko naturze, ale i znachorce. Widzę, że zerka w moją stronę i lekko się uśmiecha. A już zupełnie szeroko, gdy widzi, że bez jej pomocy zauważam pod drzewem prawdziwki.

– Wyostrzył się Tomaszowi wzrok.

– A pani Wandzie poprawił humor!

Kobieta zaczęła się głośno śmiać. W oczach miała tyle szczęścia, jakby spotkało ją coś niewyobrażalnie cudownego i dobrego. Może to na dźwięk swojego imienia, którego nikt tu nie używał? Może jednak nazywanie jest potrzebne? Ja też się śmieję. W drodze powrotnej zapełniam swój kosz po brzegi i upojony sukcesem postanawiam wieczorem skosztować nalewki pani Wandy.

Czekałem, aż na dworze zrobi się zupełnie ciemno. W międzyczasie oczyściłem i pokroiłem grzyby, po czym położyłem je na drucianej kratce piekarnika.

Przez uchylone drzwiczki już po chwili dotarł do mnie cudowny zapach. Nieporównywalny do niczego innego. Upajałem się nim! Gdzieś ponad zmysłem powonienia odkrywałem aromat czekolady, dębowych liści i orzechów. Podziemno-naziemna obietnica szczęścia.

Odkręciłem butelkę z nalewką. Dziś pachniała inaczej, pewnie przez zapach suszonych grzybów, który wypelniał już cały dom. Nalałem odrobinę do kieliszka i zbliżyłem do ust. Pomaga „na człowieka”. Cokolwiek miało to oznaczać, zawałałem się i przelałem zawartość z powrotem. Delikatne bąbelki przez chwilę trzymały się na powierzchni, aby wreszcie zniknąć po delikatnym potrząśnięciu butelką. Wciąż nie byłem gotowy.

Wyłączyłem piecyk i wyszedłem z domu. Nogi same zaprowadziły mnie do rozstajnych dróg, przy których stała kapliczka i wysoki krzyż. Dom znachorki otoczony był dziurawym płótem, połatany gdzieniegdzie patykami i gałęziami, które przynosiła z lasu. Z jednego z okien padało słabe światło, oświetlając stosik kamieni usypany pod ścianą. Nie mogłem się oprzeć. Podeszedłem bliżej, próbując zauważyć coś przez szybę. Stary kredens. Leżanka. Stół i dwa krzesła. Nic więcej. I żadnego ruchu, jakby zamarło wszelkie życie. Po kilku minutach widzę ją. Zielarka staje w drzwiach i pcha coś przed sobą. Jest duże i ciężkie. Kobieta męczy się, ale nie poddaje. Pochyla się, jakby chciała coś dźwignąć. Tylko kilka sekund trwało, zanim otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

– Pomogę pani.

Zielarka bez zdziwienia odsuwa się i odstawia stary wózek, na którym posadzone jest bezwładne ciało kobiety. Ciało z poskręcanyimi kończynami, pozbawione mięśni, obleczone białą skórą. Tylko oczy są w niej żywe. Wpatrują się we mnie z błaganiem. Czytam z tych oczu całą prawdę. Prawdę o ludziach, o zmęczonej matce, o biedzie, chorobie, wykluczeniu i strachu. Czytam o cierpieniu. O codziennych rytuałach, przednocnych wysiłkach, porannych przerażeniach. Widzę w nich tęsknotę, której niepotrzebne jest żadne imię. Ona trwała tam uwięziona ich miłością. Biorę córkę Wandy na ręce i ostrożnie kładę na łóżku. Staruszka zakrywa twarz dłońmi.

– Wypił Tomasz nalewkę, prawda?

Obejmuję ją ramieniem.

– Tak, pani Wando. Caluteńką.

DANUTA SZULCZYŃSKA-MIŁOSZ: pisarka, recenzentka i polonistka. Urodziła się w Trzciesku-Zdroju, ale od wielu lat jest związana z Gorzowem. W swoim dorobku ma publikacje w „Pograniczach” oraz „Dyskursie”. Jest autorką recenzji zewnętrznej oraz postawia w nominowanej do Nagrody Literackiej NIKE *Księgi ocalonych snów* Krystyny Sakowicz. W 2022 roku wydała swoją pierwszą powieść *Podszepty*.

WIERSZE**Maria Januszewicz**

* * *

Czy już wiesz, co mówiłam drzewom?
Mgła tłumiała słowa...
Tajemnica z rosą sptynęła na róże,
a one – plotkarki rozgadały wszystkim kwiatom.

Gdy zerwiesz stokrotkę
i przyłgniesz ustami do płatków
– o nic nie zapytasz.

* * *

Nie pytaj,
dlaczego kocham morze
spienione i groźne,
dlaczego biegnę myślami
po skalistym brzegu...
Na pustej plaży
jak wyrzucona muszelka
tęsknię...
Nie pytaj, dlaczego,
bo sama nie wiem –
nigdy morza nie widziałam.

MARIA JANUSZEWICZ: ma 72 lata. Mieszka w Przytocznej. Autorka tomiku *Wiersze*, laureatka kilku ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jej utwory były drukowane w pokonkursowych antologiach oraz w 1. numerze „Pegaza Lubuskiego” z 2022 r.

IMPRESJE TUPLICKIE

Ryszard Jasiński

Uparciuch

Król Błot gryzie kanciaste jabłko o dwóch ogonkach i wszelako – a jakżeby nie – o smaku bluszczyku kurdybanka. Puka się w pstre czoło i chichocze:

– Sam nie wiem, dlaczego cię sknociłem. Wyglądasz jak maskara. Cztery eliptyczne dziury w czole, jedno oko siwe, drugie zaczyna się na brodzie, a kończy za uchem.

– Czuję do siebie sympatię!

Król Błot stoi arogancko nad stawem nr 3 (Tartaczny), sękatym kijkiem zachęca kumaki do jazgotu.

Patrzę na swoje odbicie w kałuży, dopiero teraz zaczynam sobie uświadamiać, że nawet z Frankensteinem mógłbym wygrać w konkursie na najbardziej szpetnego dziwotwora.

Rozglądam się po włościach Króla Błot. Buk bez czuba obok próchniejącej olchy, dalej cztery graby z poskręcanymi gałęziami. Bliżej osiem suchych osik, brzoza wrosnięta w dąb. Na żabieńcach motyl, paż żeglarz, przepraszam, nie motyl, a bocian.



Fot. Ryszard Jasiński

- Dam ci – pokrzywą przeciera oczy – inny umysł. Bardziej inteligentny...
- Nie i nie, dziękuję – zanurzam dłonie w stawie Tartacznym, przemywam twarz, ale tylko do nosa, bo wyżej nie sięgam ręką. Piję wodę, ma smak komety.
- Chcesz, zrobię cię od nowa, niczego nie spartaczę...
- Powiedziałem, dzięki!

Król Błot tanecznie odchodzi w wilgotne jaskry, a czarna mgła bez entuzjazmu sunie ponad jego suchym chichotem.

Bobo

Tyciutkie to to.

Gdy ledwo wychynie z jaja, to czerwone to to. Choć tego to to niemal nie widać, to jednak słyszać to to, bo to to ma charakter: nie popuścić. To dlatego to to drze się na cały staw nr 4 i non stop tłucze się to to z każdym innym to to. Biegający jazgot. Od poranku do wieczora: łoćć, łoćć.

Takie oto to to, to nie byle co!



Fot. Ryszard Jasiński

Pocieszycielki

Nad staw Kołkowy w Tuplicach lepiej nie chodzić październikową nocą.
Niebaczny nomada przez zaciśnięte powieki widział stężoną lampę ognia.
Pocieszycielki robiły powrósła, przewiązywały się nimi, aby zastonić pępki.

To nieprzyzwoite, ohydne! Biesiadować z odsłoniętym pępkiem? Wszystko inne może być gołe, ale nie pępek!

Usiłował przetrzeć oczy, ale nie ruszył ręką. Zebrał się na odwagę, ażeby umknąć, lecz nie czuł nóg.

Obezwładniły go miksturą z mierznicy?

Pocieszycielka z liśćmi paproci w kruczych włosach wpatrywała się w czuby sosen wystające z wody. Bełtała w garnuszku zielonkawy płyn, dosypując proszek z kozłka.

Cztery pocieszycielki wbiły mu w pięty ciernie tarniny.

- Żebyś wiedział, że żyjesz, po to cierń w pięcie.
- Twoje życie ledwo się zaczęło, więc żebyś wiedział, że je masz, żebyś czuł, że je niesiesz.



Fot. Ryszard Jasiński

- Nie obawiaj się cierni, żebyś wiedział, że boleć dopiero cię będzie, żebyś niósł ten ból z zaciśniętymi szczękami, żebyś wiedział, co to znaczy żyć, żebyś szedł bez trwogi przed tym, co cię czeka za najbliższym zakrętem.
- Nie skomlij, nie biadol, taknij żyć, żebyś wiedział, żebyś to wiedział – po to te ciernie.
 Uważał, aby się nie obudzić. Może jednak nie spał, skoro patrzył na siebie oczami bobra, który ciął osikę. Szczupła pocieszycielka ochlapywała swe ciało modrą wodą:
- Głupis, tak głupis, że aż mądry!
 Jeszcze bardziej szczupła pocieszycielka z ćmą na oku, ale to zaćma, przyniosła ceber peten śliwek węgierek.
- Proszę, jedz, abys nabrał sił, bo ciągle nie zrobisz ani kroku.
 Trwał w półśnie, półleżał na skraju jawy.
 Za kotarą z blasku skrzypiały upadające gwiazdy.
 Pocieszycielki jadły pieczone korzenie tataraku. Śpieszyły się, aby zjeść jak najwięcej, zanim upadną wszystkie gwiazdy. Gdy ludzie znowu zapalą słońce, na stołach z liści lepiężnika nie może zostać strawa.
 Blask ogniska rozcieńczał się, zanikał, przez uchylone okno świtu wkradała się woń mgły. Jaskry niosły klucze, by domknąć, zatrasnąć noc.
 Najładniejsza pocieszycielka wylała na olchową deskę wyciąg z kozłka, ulepiła kulkę.
- Włóż pod język, nie gryź, rozpuści się, wtedy sobie przypominisz.
- Co? Niczego nie wiem i nie chcę wiedzieć.
- Przypomnisz sobie, tkwisz w zatopionej sztolni Kołkowego, zamknięty w piramidzie.
- Długa moja droga do mnie?
- Krótsza o tyle, że już się nie lękasz siebie samego. Hi, hi!
 Gdy słońce sypnęło jaskrawym światłem, nomada wyjął ciernie z pięty. Spięty z lęku, mający wrażenie, że mięśnie oddzielają się od ścięgien, kuśtykał w swoją drogę. Z jakąż radością patrzył na kumaki, które czmychały przed nim do kałuży.
 Październikową nocą lepiej nie iść przy stawie Kołkowym w Tuplicach.

Badacz

Stary łabędź wygrywa z synem bijatykę o staw nr 2, podczas gdy Król Błot rozszczepia ciszę na osiem roztrajkotanych gęgaw. Nie do odróżnienia, bo będących tą samą gęgawą, tyle że w kilku gęgawach.

Gdyby wszystkie rozszczepione gęsi zachowywały się tak samo, można by ocalić choć pozór ładu egzystencjalnego. Jednak nie! Oto pierwsza, trzecia, piąta i siódma zamieniają się w dziewięć pęcyc błotnych, natomiast druga, czwarta, szósta i ósma przekształca się w przestki pospolite.



Badacz ma mętlik w programie.

- Wątpię, że twoje kuglarstwo – jednak chichra się z Króla Błot, macha pępkiem fiszek, aj, pępkiem – zniechęci mnie do...
- Kumaku, pijawko, czuwacie? – Król Błot zgodnie ze swoją naturą frunie, więc siedzi, ale nonszalancko sterczy na olsze bez czuba. Posiła się muchomorem sromotnikowym.
- Się wie!
- Wyłącz u wścibskiego badacza chęć dociekania sensu.
- Się robi!

Przy oczeretach pogruchotane pióra, chimeryczna fala niesie je ku murszejącej brzozie. Nadlatuje czapla, nie, to rybołów, chyba jednak liść.

Dociekliwy badacz wyciąga nogę z wody. Pijawka z trzema szczękami ssie jego tydkę.

Przeigrany tabędź, który stracił pióra, typie zagadkowo. Patrzy na opadający liść, jakby pojął, że jest nim.

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat, wojskowy. W 2021 roku LWP wydało jego dwie powieści: *Niewidzialną władzę*, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz *Wrota Gomory* (powieść eksperymentalną). Mieszka w Tuplicach. Jego tekst „Glosa”, zamieszczony w drugim numerze, ma związek ze służbą wojskową podczas stanu wojennego.

Beata Igielska**RANY**

potrafią
jątrzyć się
latami

bo czas płynie
i zabija je
tylko w piosence

nie pomogą
okłady
maści
zastrzyki

ani różowe tabletki
na uspokojenie

zawsze
gdzieś znajdzie się
echo wiersza
niechciany sen
stare zdjęcie

Ryszardowi Daneckiemu

łzy bólu
wcale nie kamienieją
w piękno peret

tylko
płyną
płyną

BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 roku wiceprezeska gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

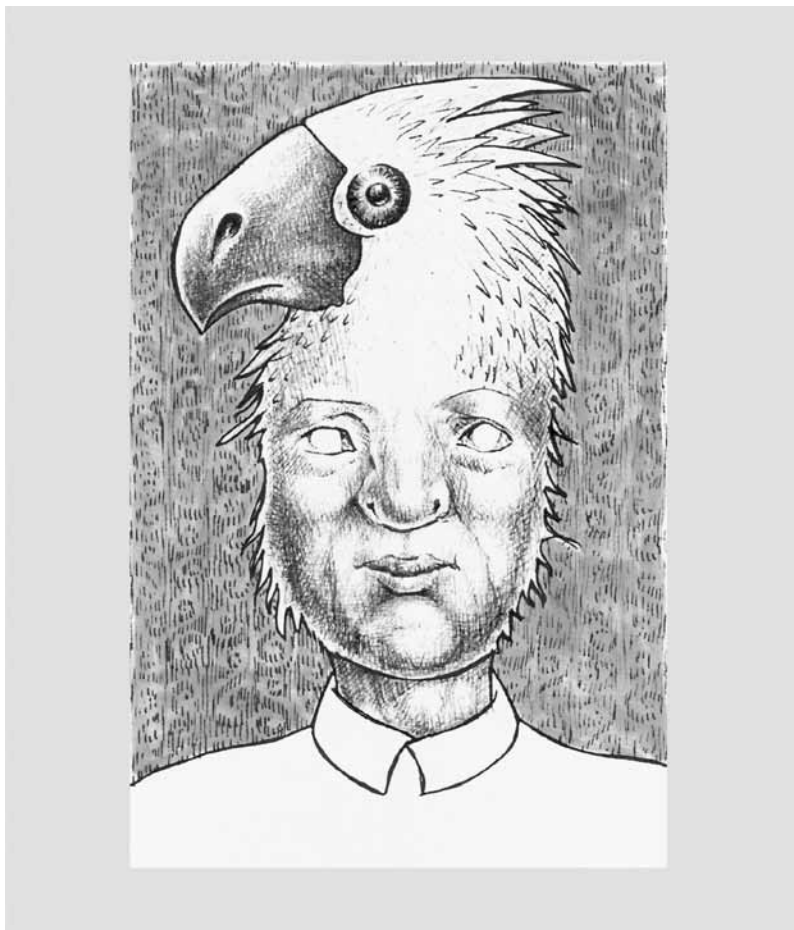
GDYBY CIOCIA MIAŁA WĄSY

Jacek Lauda

Głową rodziny był Mój Ojciec. Chociaż pewne, wcale nierzadkie, zdarzenia, oczywiste imponderabilia, słowa padające mimochodem wskazywały, że była nią Moja Matka. Tak więc głową rodziny nominalnie był Mój Ojciec. Za to sercem, oczywiście, wuj Genowef. Nie tylko sercem, był naszymi płucami, które zachłystywały się obfitością i pięknem świata, by rozprowadzać w naszych rodzinnych arteriach życiodajny tlen fantazji i optymizmu. Nie tylko płucami, był naszą wątrową, biorącą na siebie ciężar rodzinnych uroczystości, godnie reprezentując nas wobec społeczeństwa i ludzkości. Nie tylko wątrową, był też naszymi nogami, bo gdzie diabeł nie dawał rady, tam wuja posyłano, a on chętnie bieżył i sprawy w mig załatwiał.

Wuj był niewielkiego wzrostu, zwłaszcza bez kapelusza, który zdejmował tylko do spania, a i to nie jest pewne. Korpulentny, jowialny, wesoły, rubaszny, pykniczny, czerstwy, pogodny, przyjazny, otwarty, przebojowy, łagodny, miły, ustępliwy, cierpliwy. Nosił staroświecki surdut i kamizelę, w kieszonce której spoczywał złoty zegarek z kukułką. Nieco obwisłe jak fagle basseta spodnie noszące znamiona prasowania. Buty, których nie chciał zmienić na nowe, choć proponowano mu to każdego roku. Znakiem firmowym wuja Genowefa były jednak wąsy. Wąsy z rodzaju sumiastych, krzaczastych, bujnych, nastroszonych, ciemne, tu i ówdzie znaczone pręcikiem siwizny. Piękny wąs, na miarę wuja, godny naszej rodziny. Wąsy te były niczym godło, logo, łatwo rozpoznawalny znak. I tak dla wuja, jak i dla całej rodziny, jak herb rodowy.

Zdarzyło się jednak, że na skutek okropnej portugalskiej egzemy, spowodowanej nieświeżym fado, w którym wuj zasmakował podczas swej wirtualnej wycieczki po Lizbonie, musiał zgolić wąsy. Był to dla nas potworny szok. Liczna nasza rodzina była właśnie zasiadła do sobotniego obiadu i tylko wuj jeszcze jakoś długo nie wychodził z łazienki. Kiedy w końcu wyszedł i stanął przy suto zastawionym stole, zrazu nie poznaliśmy go. Tęga, niska kobieta o nalanej twarzy w niemodnej sukience, sznurem koralu na grubej szyi i męskich butach, która stała przy stole, poszukując wolnego krzesła i ignorując nasze spojrzenia, kogoś nam przypominała. Sądząc po rysach twarzy, mogłaby być siostrą wuja Genowefa, ale w istocie był to on sam. Bez ceregieli, jak gdyby nigdy nic, objął w posiadanie wolne krzesło i nałożył sobie sporą kopę ziemniaków, dwa kotlety i kilka korniszonów, wzgardził zaś surówką, której, jak mówił, nie trawili jego delikatny organizm. Po tym zestawie poznaliśmy go! Wuj Genowef nie był wujem, był ciocią, ciocią Genowefą! Tak kazał teraz do siebie mówić, a my byliśmy zbyt ośtuپieni, aby choć nieśmiało próbować wyjaśnić tę niezwykłą przemianę. Z wolna



docierała do nas jednak przykra prawda, że wuj zawsze był ciocią, a tylko wujowski *image* i nasze gnuśne przyzwyczajenie sprawiły, że nie dostrzegliśmy oczywistej teraz prawdy.

Pewnie szybko pogodzilibyśmy się z nową sytuacją, gdyby nie przykre jej następstwa. Nieobecność wuja nie tylko zburzyła równowagę, jaką w świecie szalejącej entropii cieszyła się nasza rodzina, ale wkrótce, w jakiś niewytłumaczalny sposób, wszelkie sprawy zaczęły iść źle. Budżet rodzinny, kiedyś zapewniający nam wygodne i bezpieczne życie, pomatu kurczył się, ujawniając małe, a potem coraz większe dziurki i dziury, przez które prześwitywały szarobure nice. Łatwość radzenia sobie z prozą życia, jej biurokratycznym wymiarem, urzędami

i jej otyłymi funkcjonariuszami, z domem, który coraz bardziej popadał w ruinę, niepostrzeżenie uległa anihilacji, a codzienne zmagania z rzeczywistością stały się naszą udręką. Budząca zazdrość krzepkość naszych ciał i umysłów zniknęły, przynosząc niedomagania, kontuzje i choroby. Wszystko zdawało się nastawać na nas, nasz dobrobyt, to, co dotąd nie zaprzętało naszej uwagi, uległo niepokojącej odmianie. Krowy przestały dawać mleko, mimo że żadnych nie mieliśmy, a szczekanie Terminatora – psa naszych sąsiadów, Baskerville'ów, umilkło, choć bardzo lubił szczekać.

Wszystkie te nieprzyjemne zmiany i zdarzenia miały oczywisty związek z wujem, z jego przemianą w ciotkę, a w zasadzie z samowolnym powrotem wuja w ciotkę. Naturalnie, trudno byłoby logicznie to uzasadnić, ale każdy z nas, członków rodziny, wiedział nieomylnie, że tak jest. I wuj, czyli ciotka też wiedziała. I wiedziała, że my wiemy. Z początku przyjęliśmy przemianę wuja w ciotkę ze spokojem, nawet z aprobatą, bo choć przyzwyczailiśmy się do wuja, uznaliśmy jego prawo do zmiany wizerunku i roli, do powrotu do swej pierwotnej formy. Kiedy jednak zaczęła się, zainicjowana wujowską metamorfozą, postępująca degrengolada naszej rodziny, pojawił się żal do ciotki. Najpierw niewielki, skrywany, nikt, zwłaszcza przed samym sobą, nie chciał przyznać się do małostkowości i egoizmu. Jednak żal narastał wraz z kroczącym upadkiem naszym, z każdą przykrością nas dotykającą i coraz częstszym niedomaganiem naszych ciał, z destrukcją naszych umysłowych mocy i rozpadem rodzinnych więzi. Żal przeszedł w niechęć, a ta pogłębiała się, by osiągnąć stan wrogości wobec sprawcy naszego coraz bardziej dramatycznego położenia. A ciotka była świadoma naszych uczuć wobec niej i chyłkiem przemykała po domu, tyle z obawy przed pełnymi wyrzutów spojrzeniami domowników, co i w poczuciu winy, które wzbierało w niej z dnia na dzień niczym bolesny, potężniejący guz.

Kiedy wydawało się już, że nasz los jest przypieczętowany i nic nie może odwlec nadciągającej ostatecznej katastrofy, wydarzyło się coś nieoczekiwanego. Był ponury listopadowy dzień. Poranne wspólne śniadania od dawna przypominały stypy. Siedzieliśmy przygnębieni, bez apetytu skubiąc kromki chleba, bez przekonania usiłując zapobiec rozpadowi mocno zetlatych rodzinnych więzi. I wtedy... Wtedy do jadalni wszedł wuj Genowef! On, jak najbardziej on, jak dawniej, w tym samym staroświeckim surducie, co w dawnych szczęśliwych czasach. W tej samej kamizeli, w której kieszonce spoczywał złoty zegarek z kukułką. Te same obwisłe spodnie, buty, a nawet kapelusz, który założył tylko po, by go zaraz zdjąć na powitanie. A kiedy go zdjął, zobaczyliśmy wąsy, bez których wuj byłby niepełny, nie całkiem wujowski, pod nimi zaś promieniał uśmiech, który wnosił dawne światło w mroki, które omal nas nie pochłonęły. Wuj Genowef – nasz Prometeusz.

Wiedzieliśmy teraz z niezłomną pewnością, która w jednej chwili wlała nadzieję w nasze obumierające serca, że epoka smutku i upadku przeminęła.

Janina J. Jurgowiak

NIC NA ZAWSZE

Jesienią zbieraliśmy kasztany
z nadzieją, że wyleczą nas
z tęsknoty do lat,
kiedy wszystko było proste i jasne
bez światłocienia,
że wyleczą z miłości do drzew i ptaków.
Nie ma kasztanów,
tamtej jesieni i ciebie.
W życiu nic na zawsze,
samo życie też.

GDZIE NASZ DOM?

Za pierwszą, drugą stertą gruzów...
– Mamo, ty powiedz, gdzie nasz dom?
I gdzie jest tatko?
– Tata zginął.

I ciężka cisza... No bo jak?
zginąć to może zeszyt bilet
kredki a nawet cały plecak
kot
ale nie taki duży człowiek
zawsze mówiła nie kłam Sergiej
a teraz sama
czy to żart?

– Mamo, nie żartuj, powiedz lepiej...
Mamo, ty płaczesz?
Ja głodny, zimno, spać się chce.
Gdzie jest nasz dom?
No, powiedz, gdzie?

POTOP

Słowa unoszą się falami,
 płyną potokiem znaczeń bez sensu,
 rosną i rosną, napierają
 zawistne, mroczne, gorzkie.
 Cykutą w gardło natłok słów,
 tojadem w uszy słów ulewa;
 szyderyczy chichot a, ą, e, ę
 spadają na mnie, tłuką w teb,
 chlustają w twarz i, o, u, y,
 kąsają wściekłym deszczem.

Prawda i fałsz znaczą to samo,
 tu wszystko jest możliwe
 i nic naprawdę, chaos bzdur.
 A gdy nawąta minie (bo minie kiedyś),
 na nieboskłonie błysnie tęcza,
 napiszę na niej: Dulcis finis.
 Krajobraz – pustka, cisza cisz
 i nic już nie napiszę więcej.

OPISAĆ ŚWIAT

Jakże mam opisać świat,
 kiedy tyle rzeczy i zdarzeń?
 Stoję oniemiata, bo nie wiem.
 Świętojańskie magie,
 słowicze trele,
 strudzeni żniwiarze,
 uchodźcy,
 bezkres stepów, mórz i cierpienia,
 niebosiężne góry,
 bezdenne przepaście...
 ogarnąć nie sposób.
 Ludzie – osobne światy,
 początek – koniec – początek,
 alfa i omega,
 śmierć i zmartwychwstanie.
 Pomiędzy pulsująca magma.
 Jakże opisać?

KONFESJONAŁ

ściany uszy mają
 więc ja szeptem
 ściany oczu nie mają
 więc się bezwstydnie rozbieram
 z pogody
 czasem przemykam do dębu
 obejmuję pień
 przytulam policzek
 nastuchuję czy tętni życiem
 uspokojona wracam do ścian
 rozpoznają mnie
 pamiętają
 nie rozszumią na cały świat
 jak dajmy na to dąb
 one konfesjonał



NOC

Nie kupujcie mi aparatu słuchowego,
 tak jest dobrze.
 W ciszy
 księżyc tańczy na zmarszczkach kałuż,
 domy modliwie składają dłonie –
 miasto śni, że dobre jest wszystko,
 nawet bezsenność.

JANINA JURGOWIAK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*, a w 2019 – tomik *Wersje i dywersje*. Stypendystka prezydenta Gorzowa Wielkopolskiego.

ŚRYŻ

Jędrzej Morawiecki

Tomsk zmienia się w brudną rzekę. W południe tają zaspy, śnieg miesza się z lodem i wodą. Pod wieczór wszystko znów zamarza.

Wyjeżdżam do miasta N. Mam tam się spotkać ze znajomym księdzem. Ostatnio zaczął pisać coraz bardziej osobiście, intymnie wręcz, dziwnie. Coś o dziewczynce z parafii, pięknej jak Maryja, zastanawiał się, czy dostrzeganie jej piękna jest grzechem, skoro zamknąć na to piękno oczu nie sposób.

Na miejscu nikt na mnie nie czeka. Księdza nie ma, został podobno przeniesiony. Miasto N. – nijakie. Kłębowisko torów, punkt przesiadkowy, budynki rozmazane w mokrej zadymlce. Na rzece – śryż, szuga. Słońca brak. W miejscowym klasztorze zakonnicy rozprawiają o żywotach świętych. Mówią, że w katolicyzmie były jeszcze jakoś badane i weryfikowane, z niektórych zostały tylko drzazgi. Prawosławni zaś czytają je częściej niż Biblię. Zakonnicy opowiadają, że świętego Mikołaja doklejono tu niemal do Trójcy, a naukowość jego biografii jest bardzo kontrowersyjna.

– Ale i w Watykanie sprawy kanonizacji mają się osobliwie – dodają zaraz. – Ot, weźmy choćby nadreprezentację jezuitów wśród świętych. Warto przyjrzeć się udziałom poszczególnych formacji. Chodzi o pieniądze, budżet, kanonizacja przecież kosztuje.

Potem żarty z sióstr mieszkających w zakonie naprzeciwno. Że nie mogą czytać Psiego serca Bułhakowa, bo zamiana ciała z psem za bardzo przypomina reinkarnację.

Wreszcie spotkanie ekumeniczne, raczej tajne, nikt się teraz takimi inicjatywami specjalnie nie chwali. Siedzimy w kręgu. Powietrze gęste, nabrzmiałe od modlitw. Wydaje się, że przejrzała materia zaraz pęknie. Podczas interpretacji psalmu niektórzy prawosławni płaczą. Potem niekończące się dyskusje, godzinami toczą się kolejne spory dotyczące biblijnej mitologii, żywotnego tu ciągle Dänikena i naszego kosmicznego pochodzenia. Do tego Roerich, specjuś, poszukiwanie w górach tajemnego królestwa Chrystusa. Tylko kobieta w szarej sukni i szarych włosach nie mówi nic. Ma przenikliwe oczy. A do tego ścisły umysł i szczerze serce, ale o tym dowiem się dopiero za chwilę. Po spotkaniu rozmawia z zakonnikami, szuka duchowego wsparcia, brak jej formacji, musi rozeznaczyć, co robić dalej, jest na dramatycznych rozstajach.

Nikt nie może się o tym spotkaniu dowiedzieć. O wyjeździe do miasta N. O szukaniu pomocy u katolików. Zaraz przecież trzeba wracać do monasteru. Należy się śpieszyć, na północy jest jeszcze mróz, ale kiedy rzeka odpuści i szuga przyjdzie również tam, prawosławny zakon zostanie odcięty od świata. Na razie wychodzimy za miasto, łazimy płataniną torów, ona mówi:

– Pierwszy raz spotkałam TO podczas sesji. Ja w całym studiowaniu najbardziej lubiłam właśnie sesję, bo dopiero podczas przygotowań do egzaminów doświadczałam całości. Składałam wiedzę w jedno i widziałam jedno. Ja wtedy nie tyle rozumiałam, ile czułam wiedzę. Ona się we mnie wydarzała. I tego szczęścia nie potrafię z niczym porównać. Nie jestem w stanie o nim opowiedzieć. Wtedy jeszcze nie rozumiałam, że to doświadczenie Boga.

A potem trafiłam do katolików. To wszystko przez to, jak jestem skonstruowana. Bóg wyposażył mnie w określoną pulę genetyczną, dlatego też moja droga do Niego okazała się specyficzna. Nie bez znaczenia było również to, kogo spotkałam po drodze. Pan ich postawił na mojej ścieżce. To nie były osoby przypadkowe. Oni byli znaczący. W każdym razie w tamtym momencie mojego życia. Na przykład mama. Od mamy dowiedziałam się, że jestem ochrzczona. Jej przy tym nie było, babcia wszystko załatwiła. Potem napisałam do babci. A babcia: że nic takiego nie miało miejsca. Przeraziłam się (wiadomo, jak to neofitka), bo ja już przyjmowałam komunię. Bałam się panicznie, że umrę. Pobiegłam do kościoła. Ksiądz mnie błyskawicznie ochrzcił. Świadkiem była mniszka.

Zaraz jak upadł Związek Radziecki, zaczęłam czytać teksty teologiczne. Świętego Ignacego. Mój biofizyczny umysł dostał to, czego potrzebował. Wreszcie było, jak należy: bierzesz i robisz to, co opisane. Ja jednak chciałam nie tylko robić, ale i dawać. Wy tłumaczyć, że Boga da się odnaleźć, że to bardzo proste, że wtedy wszystko jest wreszcie, jak trzeba. Z pracy na uczelni zrezygnowałam. Pracowałam jako stróż w kościele.

A potem wystali mnie do Polski, do Częstochowy. Tam miałam systematycznie ćwiczyć ducha. Byłam u nich rok. Było mi dobrze. Rytm wyznaczony, reguły ustalone. Wróciłam do Rosji. Musiałam coś z sobą robić. Miałam dwadzieścia dziewięć lat. Próbowałam po prostu żyć. Ale „po prostu” nijak już nie wychodziło. Wróciłam na uczelnię, nie jako wykładowca, ale jako pracownik laboratorium. Nudziłam się tam jednak, męczyłam.

I znów Polska. Trafiłam do zakonu. Bardzo specyficznego. Trudno to nazwać... Siostry, kiedy przyjmują Ukrainki i Rosjanki, nie bardzo chcą rozumieć różnice kulturowe. Śpiewałyśmy w nieskończoność polskie kolędy. Najpierw wydawało mi się to ciekawe. Ale nie byłam przecież na wycieczce, nie da się tak ciągle. Proponowałam, żebyśmy pośpiewały też po ukraińsku, po rosyjsku. Trafiłam na mur niemożliwy do przebicia. Najwygodniej było im niczego nie zmieniać, nie majstrować, zostawić tak, jak jest. One były jak starszki, choć wiekiem wydawały się młode. Przyjeżdżał do nas prowincjał, nawet mnie próbował trochę wypytywać, ale ja mu o tym murze i o tym, co się u nas dzieje, nic nie powiedziałam. Widziałam strach w oczach przełożonej. Nie chciałam żadnych konfliktów. Wiedziałam, że na siłę nic się zrobić nie da. Starłam się więc przywyknąć do rzeczywistości klasztornej, przyjąć

ją w pokorze. Czułam się niemiłosiernie zmęczona. Próbowiałam modlić się po rosyjsku w samotności.

Nadszedł czas ślubów wieczystych. Ja byłam pewna, że muszę być siostrą zakonną. A skoro Bóg umieścił mnie w takim miejscu, to widocznie zastrzyłam na to swoimi grzechami. Przyjęłam śluby wieczyste. Było pięknie. Musiałam wrócić do Rosji, wyrobić nowy paszport. Ruszyłam do N. Sama, chociaż w zasadzie w pojedynkę nas nigdzie nie wypuszczają. Ale okazało się, że we dwójkę za daleko i za drogo, zrobiono więc wyjątek. Dotarłam na miejsce, odwiedziłam rodziców, odnowiłam paszport. Nie miałam pieniędzy na powrót, siostra przełożona mi ich nie dała, liczyła, że poradzę sobie sama. Rodziców prosić nie chciałam. Utknęłam w N.

Spotkałam swoją znajomą wykładowczynię. Strasznie mnie namawiała na wycieczkę do monasteru za rzeką. Nie bardzo miałam na to ochotę, tym bardziej w habitcie. A bez habitu nigdzie się nie pokazywałam. Zresztą: co miałabym robić w prawosławnym klasztorze? Nic z niego nie rozumiałam. Ale wykładowczyni tak mi wierciła dziurę w brzuchu, że z nią pojechałam. To znaczy odmawiałam trzykrotnie. Ale za czwartym razem powiedziała:

– Dziś w południe podjedziemy po ciebie samochodem. Pomyślałam: właściwie cóż mi taki jeden dzień szkodzi. No więc zawiozła mnie, wysiadłam.

– Tu masz klucze. – Pokazała, gdzie ma dom we wsi i natychmiast odjechała. W prawosławiu wszystko trwa dłużej. Najprostsze modlitwy poranne, które muszą zmówić, to co najmniej dwie godziny. Przy czym trzeba trzymać tempo, nad nimi nie należy medytować. Najbardziej uwiera mnie u nas to ciągłe oczekiwania na zbawienie. To, że wykonujemy instrukcje, jak uniknąć potępienia. Tego w katolicyzmie było równie dużo. Do soboru trydenckiego. Ale, wybaczenie, komu mogłabym o tym u nas w monasterze powiedzieć? Może kiedyś o tym napiszę.

Tu nie było z kim rozmawiać. Napisałam do naszego miejscowego władcy wielką prośbę. Że uważam się za siostrę, że złamałam klauzurę, samowolnie opuściłam katolicki klasztor. Czy to było naprawdę samowolne, to już inna sprawa. Ale tak napisałam. I dodałam, że śluby są wieczyste. Oraz że chcę przyjąć prawosławie, chociaż nie rozumiem przyczyny tego pragnienia. I jeszcze, że nie mogę wyrzec się dotychczasowej drogi przez katolicyzm.

Władcy wyraził zgodę. Wiedziłam, co mnie czeka w monasterze. Rozumiałam, że dla nich katolicy to zdrajcy, złoczyńcy, heretycy. I na pewno nie chrześcijanie. Zrobili mi tonsurę. Zmienili imię. Tego żałuję do tej pory.

Minął rok, drugi, trzeci, przeprowadzono procedurę mego przejścia na prawosławie, nieco podobną do ślubu. I właśnie tego dnia zadzwoniła z Polski moja przełożona. Krzyczała na mnie strasznie, że mam wrócić, że tak nie wolno, nie mam prawa. Ale było już po obrzędach.

Tak wiele razy pytałam siebie, co tu właściwie robię. Mówiłam, że gdyby Bóg dał mi wybór, gdyby mi pokazał to, co w klasztorze widzę: warunki sanitarne, jadalnię, nasz byt... No, za nic w świecie bym się na to nie zgodziła. Dlatego mnie pewnie nie zapytał. Próbuję odnaleźć w tym sens. Z tego powodu przyszłam dziś do katolików. Ja wiem, że nie mam już czego u nich szukać. Muszę jednak odnaleźć sens w drodze, którą mnie Bóg prowadzi, zrozumieć, w jakim jestem punkcie. I czuję się w tym poszukiwaniu samotna. Bo w klasztorze nie mam z kim o tym porozmawiać. Nas jest bardzo mało. Tych pomiędzy katolicyzmem a prawostawiem. Dosłownie garstka. Może dlatego to takie trudne.

Mam jeszcze przyjaciółkę w Petersburgu, Anastazję, również po rzymskim epizodzie. Również w zakonie, ona zamilkła zupełnie. Ktoś powinien ją odwiedzić, wesprzeć, ustalić, co się tam naprawdę dzieje. Nie jesteśmy przecież owadami. Ani roślinami, które ktoś posadził i czeka, aż wyrosną. Musimy widzieć sens doświadczonego. A w tym, co się z nami stało, jest przecież na pewno jakiś głęboki sens.

Co trudnego jest w klasztorze? Teraz myślę, że lepiej zapytać: co łatwego. W zakonach istnieje reguła, rytm, jasne zasady. U nas nic takiego nie ma. W prawostawiu każdy robi Bóg wie co. Powiedzenie: Kakow pop, takow i prichod, czyli że każdy ksiądz to osobna parafia, nie wzięto się znikąd. W prawostawiu klasztor to opat. Opat się nie wybiera. Opat zostaje na czele monasteru dożywotnio. I to jest bardzo złe. Gdybyż była możliwość, dajmy na to, wybrania nowej przeorowsy... Nie powinnam chyba tego wszystkiego mówić, ale... Ludzie w zakonie są bardzo prości. To, co opowiada matuszka, odbiera mi czasem mowę. Ona mnie swoimi opowieściami wprawia w ostupienie. Mówi na przykład, że katolicy nie są chrześcijanami. Ona jest moją przeorowsą, muszę być pokorna, a jednocześnie wiem, że stoję przed osobą niewykształconą i niemądrą. I że prostować jej twierdzeń nie należy. Ten klasztor jest taki ze swojej natury. Niejasny. W klasztorze jestem sama. Nie ma w nim ani jednej osoby, z którą mogłabym rozmawiać bez napięcia. Która nie patrzyłaby na mnie jak na wroga. Lub jak na chorą, grzeszną, zsuwającą się w czeluść herezji. Kogoś, kto by mnie po prostu wysłuchał. Ja niczego więcej nie oczekuję. Bylebym mogła do kogoś mówić. Bo sam akt werbalizacji sprawi, że mówiąc, usłyszę odpowiedzi.

Rozmawiam z pielgrzymami. To mi bardzo pomaga. Wtedy czasem przychodzi jasność. Na chwilę. Zaczęłam prowadzić podziemne kazania. Tłumaczę ludziom z zewnątrz, że jest trzecia droga. Że można służyć Bogu, będąc w świecie, że nie trzeba przekraczać tych murów i zostawać w klasztorze.

Jest nas tu osiemdziesiąt. Duża grupa siostr pracuje w kuchni. Zaczynają nocą. Pieką chleb, gotują trzy kotły zupy. Do tego kasza lub ziemniaki. Inne szyją, jeszcze inne pracują w ogrodzie albo zajmują się tymi, którzy przyjechali do klasztoru na starość, dożyć tu swych dni.

Wstajemy wpół do szóstej. Od szóstej do ósmej czytamy modlitwy. O ósmej zaczyna się msza poranna, trwa prawie do dziesiątej. Potem czasy, czyli godzinki. Potem liturgia, to już kolejne dwie godziny. Kończymy około czternastej. I ja o tej godzinie nie mam już na nic sił.

Pierwszego roku napędzał mnie jeszcze entuzjazm. Ale ten entuzjazm zgaśł, kiedy przyszło wyczerpanie fizyczne. Posty prawosławne są bardzo surowe. Ja z początku próbowałam przestrzegać wszystkich reguł, od pierwszej do ostatniej litery. Aż w końcu zrozumiałam, że się nie da. To ogromnie frustrujące. Bo oni chcą, byśmy żyły w sposób niemożliwy do życia. Organizm nie daje rady. Dusza milknie pod ciężarem tych potężnych liturgii. Obcowanie z Bogiem zmienia się w rutynę. Katogę. Dni wolnych nie mamy. Po co nam one? Od czego miałybyśmy odpoczywać?

Od modlitwy?

Do tego dochodzi apokaliptyczna narracja. Bo tylko my mamy być zbawieni. W pewnym sensie mój zakon przypomina sektę. Mimo że władka odwiedzała nas wielokrotnie. Działyśmy w strukturach Kościoła. Te zapowiedzi końca pozwalają nam kontrolować i przywracają entuzjazm. To jak sól i pieprz. Oni przyprowadzają nasze życie, strasząc kolejnymi wojnami, nadchodzącym kresem.

Ludzi w monasterze wspierają krewni. Oni mają dostarczać żywność i leki. Klasztor tego nie daje. Jeśli nie masz krewnych, żyjesz w skrajnej nędzy. Chyba że otrzymujesz emeryturę. Właśnie ona jest tu najlepszym posagiem. Znam zakony w Petersburgu, w Moskwie. Wiem, że tam jest zupełnie inaczej. Ale monastery na prowincji po prostu biedują.

Jeżeli masz słabą emeryturę, zestarzejesz się i zachorujesz, musisz zrozumieć, co cię u nas czeka. Pozostaniesz tu na łasce Boga. To brzmi dobrze. Tyle że w klasztorze łaska Boża spoczywa w rękach przeorów. Wyobraź sobie, że nie masz już siły składać setek modlitewnych pokłonów. I że za nieposłuszeństwo musisz w ramach pokuty składać tych pokłonów podwójną liczbę. Możesz to, co mówię, nazywać zwątpieniem. Słabością. Faktów to jednak nie zmieni. Taka jest po prostu specyfika monasterów. Zdarza się, że ci, którzy są już niedotężni, opuszczają klasztor i jadą do krewnych, żeby móc godnie umrzeć. Boję się, że umrę bez godności.

Rozdział „Śryż” pochodzi z książki Jędrzeja Morawieckiego „Szuga. Krajobraz po imperium”, wydanej przez Spółdzielnię Wydawniczą CZYTELNIK w 2022 roku

dr JĘDRZEJ MORAWIECKI: dziennikarz, publicysta, literaturoznawca i socjolog. Napisał kilkanaście książek reportażowych i naukowych, m.in. *Łuskanie światła*, *Innego piekła nie ma*, *Cztery zachodnie staruchy*.

DEGUSTATOR

Z GORZOWSKIM POETĄ JERZYM GRODKIEM ROZMAWIA PAULINA WOŹNY



Fot. z archiwum J. Grodka

Jakie początki ma pańska przygoda z literaturą?

Pierwsze próby literackie powstały na marginesie pamiętnika, który prowadziłem aż do szkoły średniej. W Zespole Szkół Budowlanych należałem do kółka redakcyjnego prowadzonego przez Zenona Cichego. Pisałem m.in. reportaże z życia szkoły. Miałem już swoje pierwsze publikacje w zakładowej „Przemysłowce”.

A był jakiś przełomowy moment, który doprowadził do miejsca, w którym pan teraz się znajduje?

Tak. Wygranie konkursu literackiego pt. „Fraszka uśmiechem codzienności” było punktem zwrotnym w moim pisaniu, bodźcem do dalszego szlifowania warsztatu, z którego od czasu do czasu coś wychodzi na światło dzienne.

Dlaczego spośród tak bogatej listy form literackich wybrał Pan akurat fraszki?

Jeśli chodzi o formę literacką, to nie wypominając jej wieku, który sięga papirusów, przyrównałbym ją do kobiety. To nie ją ją wybrałem, ale ona mną owładnęła.

Czy fakt, że mieszkał pan w Gorzowie, wpłynął na pana życie literackie?

Oczywiście. Zawsze otaczające środowisko ma wpływ emocjonalny na kształtowanie osobowości jego młodych i dojrzewających mieszkańców. W moim przypadku miałem szczęście być otoczony ludźmi, którym „coś w duszy grało”.

Czuje się pan lokalnym poetą?

Czy czuję się lokalnym poetą? Tak, w każdym zakątku świata.

A czym jest dla pana poezja?

Książką kucharską dla ducha dogadzającą najbardziej wybrednym smakom.

Jakie miejsce zajmuje w pańskim życiu?

Degustatorskie.

Interesuje mnie pański warsztat pracy. Może pan o nim opowiedzieć?

Myślę, że należę do tradycyjnej, starej szkoły. Należy być uzbrojonym w kartkę i długopis dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo nie wiadomo kiedy ten dar Boży na nas spłynie, a bywa to w przeróżnych porach dnia i nocy. W moim przypadku najczęściej w nocy i jest w różnym natężeniu. Jak „tama puści” to i cała nocka na pisaniu zejdzie. Nie ma miejsca na zmęczenie. Jak się zrazu nie zapisze, to rano nie ma co szukać nawet w najgłębszych zakamarkach pamięci...

Dużo czasu mija między tworzeniem a wydaniem tomiku?

Proces twórczy w większości przypadków wymaga czasu w różnych jego fazach: od uszczypnięcia tematu, wydobywania ostatecznie esencji tekstu. Następnie jest „leżakowanie” zapisanych karteluszek w kartonie (szuflady są za małe), gdzie „nabierają procentów”, a w końcowej fazie jest ostateczna „obróbka” i „szlifowanie” na komputerze.

Która nagroda w pańskiej kolekcji jest najważniejsza? Nie chodzi mi o wartość finansową, lecz sentymentalną.

Do takich sentymentalnych „nagród” zaliczam zamówienie na aforyzm dla Gorzowskiego Związku Sportu Niepełnosprawnych „Start”, który był organizatorem mistrzostw Polski. Mój aforyzm był mottem i zdobił wszystkie medale.

To bardzo ciekawe. Czy jest jeszcze jakaś inna historia związana akurat z tym aforyzmem?

Gdy pod koniec zeszłego roku odwiedziłem mojego szachowego mentora i wspólnego przyjaciela Bogdana Lotko, w pewnym momencie wyciągnął portfel, a z niego blaszkę z medalem z aforyzmem:

Sztuką być sprawnym w swojej niesprawności.

Jerzy Grodek

Powiedział: noszę ją codziennie jako wsparcie duchowe – to jest dla mnie sentymentalna nagroda życia. Do takiej sentymentalnej nagrody zaliczyłbym też umieszczenie mojego aforyzmu w niemieckim podręczniku „Teoria pedagogiki społecznej i opieki społecznej”. Z humorystycznych ciekawostek jest nią wydanie zbiorowe „Myśli w locie” współczesnych aforystów niemieckich, wśród których znalazł się Jerzy Grodek i jego aforyzmy również tłumaczone na... język polski.

Z książki pt. „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza” dowiedziałam się, że jest pan mistrzem Europy w paleniu fajki na czas! Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, że istnieje taka konkurencja i zainteresowało mnie to. Mógłby pan opowiedzieć, jak ona wyglądała? Czy może jest to tytuł nadany przez pana Szmida?

Ha! Trafita pani w dziesiątkę! Gdy pod koniec zeszłego roku dostałem od Krysi Kamińskiej tę książkę, zauważyłem, jakiego psikusa zrobił mi Irek „zafascynowany” moim hobby... „Nadał” mi tytuł: Mistrza Europy w wolnym paleniu fajki. Gwoli wyjaśnienia, moje indywidualnie zdobyte tytuły to: Mistrz Niemiec 2010, Mistrz Wschodnich Niemiec 2005; 2006. Ponadto wszystkie rekordy Wschodnich Niemiec od 20 lat nieprzerwalnie należą do mnie.

W każdym artykule, który jest panu poświęcony, jest pan opisywany jako mężczyzna z półmetrową kitą lub warkoczem; w kapeluszu, z fajką w ustach. Czy ten obraz jest nadal aktualny?

Tak, choć kapelusz z czasem coraz bardziej mnie w ziemię wciska, a włosy już siwe. Tylko z fajką nie pokazujemy się wszędzie (ze względu na zakazy), ale nadal jesteśmy nierozłączną parą i wkrótce obchodzić będziemy „złote gody”. Co do moich długich włosów, opowiem pani ich historię. W moich młodzieńczych latach noszenie długich włosów było oznaką wolności i niezależności, zaś dla rodziców tych długowłosych ciągłym utrapieniem i wymówkami oraz ciągłym i bezskutecznym wysyłaniem do fryzjera... Dwanaście lat temu (2010), goszcząc u śp. Mamulki w Gorzowie, miałem zapalenie stawów i gdy rano z bólami plotłem warkocz, głośno stwierdziłem: Nie będę dalej się męczył, dzisiaj idę do fryzjera ściąć włosy... Na co oburzona Mamulka: Wybij to sobie z głowy, nie po to tyle lat walczyłam, żebyś teraz ot tak ściął włosy... No i tak zostało.

Dziękuję za rozmowę

JERZY GRODEK: aforysta, fraszkopisarz, miłośnik szachów i palenia fajki. Urodził się 11 października 1959 r. w Gorzowie. Tutaj uczęszczał do szkoły, a później pracował w Wojewódzkim Domu Kultury. Od 1985 r. na stałe mieszka w Niemczech. W 1995 r. wydał swoją pierwszą książkę pt. *Aferyzmy* zawierającą 99 fraszek. Od 2007 r. jest członkiem Związku Literatów Polskich.

PAULINA WOŹNY: rodowita gorzowianka, absolwentka III Liceum Ogólnokształcącego, studentka Komunikacji Medialnej i Społecznej w Akademii im. Jakuba z Paradyża, gitarzystka, miłośniczka twórczości artystycznej Agnieszki Chylińskiej, fotografii przyrodniczej oraz cukiernictwa.

OD LAT WYBACZAM. O POEZJI JERZEGO HAJDUGI

Danuta Szulczyńska-Miłosz

W swoich ostatnich zbiorach wierszy poeta po raz kolejny podejmuje próbę pogodzenia ze sobą dwóch – wydawałoby się sprzecznych – zagadnień: miłości i śmierci. Porusza tematy, które towarzyszą każdemu z nas od dnia narodzin, które rządzą życiem, i dzięki którym świat porusza się do przodu w skokowym tempie. Dlaczego pozornie sprzecznych? Bo śmierć bez miłości jest jedynie zakończeniem procesu, jakim jest życie, a miłość bez śmierci nie rozwine skrzydeł poetom. Są ze sobą sprzężone, są od siebie zależne i tak samo ważne. I dopiero ich współistnienie pozwala dostrzec rzeczy wzbogacone o nowy wymiar. Wymiar szczęścia i rozpacz. Radości i bólu.

Nieprzypadkowo Hajduga pozwala sobie na oszczędność środków i skrajny minimalizm. Autor wie, że to, o czym pisze, jest dla większości oczywiste. Każdy z utworów mógłby stanowić motto do obszernego tekstu i to właśnie dostajemy – myśl, która skłania do refleksji, zdania, które są nam bliskie i do których każdy z nas mógłby dopisać własną historię. A jednak poruszają same w sobie.

Poruszają, ponieważ z każdego z nich wybrzmiewa ogromna potrzeba wybaczenia i to w kilku aspektach. Autor przede wszystkim próbuje wybaczyć matce, która odeszła, zostawiając za sobą pustkę i niedokończone życie. To oczywiście jest bezprzedmiotowy żal, jednak istniejący i silnie zakorzeniony. Osadzony jest w sercu poety na tyle mocno, że walka z rozsądkiem jest bezcelowa. Próbuje również wybaczyć Bogu, że taka była Jego wola. Nie wadzi się z Nim, ale nie chce się też utożsamiać z takim stanem rzeczy. Jednak najtrudniejszym zadaniem, z jakim mierzy się poeta, to wybaczenie samemu sobie. Pogodzenie się ze stratą, zaniechanie rozdrapywania ran, zaprzestanie myślenia o tym, czy mogło się zrobić więcej, zanim skończył się czas.

Minimalizm, o którym pisałam wcześniej, ma jeszcze inne znaczenie. Miłość syna do matki i ogromna za nią tęsknota pozwoliły dokonać poecie ważnego wyboru, który mógł wyphywać z zasadniczego założenia. Przekaz poetycki, zwłaszcza ten, który dotyczy najbardziej osobistych uczuć, wiąże się z ryzykiem bycia niezrozumianym. Mnogość słów nie stanowi o ich wyczerpaniu, nie daje satysfakcjonującego zakończenia i nie oddaje wszystkiego. Lepiej jest więc pozostawić to odbiorcy. Dać sygnał, aby czyjeś własne odczucia pozwoliły dopowiedzieć resztę, wpłynęły na pełnowartościowy odczyt, który będzie nie tylko interpretacją. Będzie wspólnym przeżywaniem.

Dzięki temu w swoich utworach poeta przekazał nam wszystko to, co ważne. Miłość i związany z nią ból. Śmierć i jej nieodwracalność. Wybaczenie, które nie nadchodzi, bo nie istnieje zrozumienie. Przede wszystkim, dał nam szansę

osobistego uczestnictwa w procesie tworzenia poprzez przywołanie swoich wspomnień i użycie słów, które są nam bliskie.

Hajduga podejmuje więc próbę spisania nieprzekładalnych na ludzką mowę wrażeń, dla których nie powstały jeszcze ich odpowiedniki.

Artystą jest ten, kto ufa sobie. I Hajduga taki jest. Wierzy w swój przekaz, wierzy w mądrość pojedynczych zdań i ufa ludziom. Wierzy w ich miłość, w ich rozum i w człowieczeństwo, jednak w słowach poety znajdujemy całe morze rozmaitych wątpliwości. Poza jedną – podobieństwem uczuć.

Panu Jerzemu dedykuję wiersz Tadeusza Różewicza z tomiku *Matka odchodzi*. W jego wierszach także słychać: „Zostań. Zostań, a wszystko będzie inaczej, bo *takie twoje odchodzenie* jest niekończącym się pasmem bólu”.

Jerzy Hajduga, *Zostań*, Poznań 2022, 71 s.

Jerzy Hajduga, *takie twoje odchodzenie*, Poznań 2022, 71 s.



DUŻE TROSKI MAŁYCH LUDZI

Beata Igielska

Nieraz mówimy, że nie jest nam łatwo z dziećmi...

A gdyby spojrzeć na świat oczyma dzieci?

Może z nami, dorosłymi, jest trudno małym ludziom? Bo dziecko to przecież człowiek, tylko mniejszy, bardziej bezbronny, nieraz boleśnie osamotniony.

Właśnie o tym opowiada książka Magdaleny Markowskiej „O dziewczynie, która tęskniła i komandosie, który płakał”,

Teoretycznie opowieść dla najmłodszych, tak naprawdę jest adresowana do wszystkich, a w jej tle pojawia się... gorzowska biblioteka. Warto zanurzyć się w ten świat.

Dziesięcioletnia Marta jest Polką, która urodziła się w Anglii. Wielkim przełomem w jej życiu jest decyzja rodziców o przeprowadzce do Australii. Dla dziewczynki to daleki kraj, w którym ludzie jedzą kolację w tym samym czasie, w którym Europejczycy pochłaniają śniadanie. Poza tym, jak można rozstać się z przyjaciółką i kamieniem, pod którym pochowana została psina Bagietka?

Zanim Marta trafi na antypody, odwiedza rodzinę w Polsce. W Gorzowie dostaje w prezencie od kuzynki zrobionego na szydełku misia. Miś pochodzi z miejscowej biblioteki, jest melanzowy, czyli zrobiony z dwóch różnych nitok. Nie jest idealny, wygląda jak brudas, ale odgrywa w życiu małej bohaterki szczególną rolę.

W australijskiej szkole Marta trafia do jednej ławki z chłopcem, który jest uznawany za dziwaka. Clint unika rówieśników, z nikim nie rozmawia, żyje w swoim świecie pełnym żołnierzyków, morskich bitew, sztormów... A Marta bardzo boi się oceanu.

Tych dwoje małych ludzi połączy jednak wyjątkowa więź.

Książka Magdaleny Markowskiej to piękna, wzruszająca i refleksyjna opowieść o dziecięcej tęsknocie i samotności w świecie dorosłych.

Pomocą w trudnych chwilach mogą być przedmioty: miś do przytulania, pudełko z pamiątkami, pocztówki... Ale to tylko namiastki szczęścia i spokoju.

Mali bohaterowie tęsknią w przejmujący sposób. Opisy ich przeżyć są tak sugestywne, że szybko udzielają się czytelnikowi. Trudno nie wzruszyć się podczas lektury i nie śledzić perypetii Marty oraz Clinty z zapartym tchem.

Magdalena Markowska napisała książkę mądrą i dającą do myślenia, pokazującą, że świat widziany z perspektywy dziecka jest bardziej skomplikowany, niż może się wydawać.

To także opowieść, która uczy młodych odbiorów tolerancji, empatii, szacunku. Uświadamia, że przyjaźń to wielka wartość i że może ona zrodzić się nawet między bardzo różniącymi się ludźmi.

W smutnym świecie małych bohaterów jest też odrobina miejsca na spontaniczne poczucie humoru. Autorka przekonująco godzi powagę z żartami, a to nietańta sztuka.

Niewątpliwą zaletą książki jest połączenie prostoty języka z pięknem opisów. Synestezyjne fragmenty oddziałują na wszystkie zmysły i bardzo pobudzają wyobraźnię – nieraz czujemy chłód i zapach oceanu, wiatr we włosach, podziwiamy zachód słońca i kolorowe muszelki. Świetnym przykładem tego jest przygoda z rekinem, który ostatecznie rekinem się nie okazuje.

„Zachodzące z wolna słońce oświetlało cały port, statki i łodzie, nadając pejzażowi miękkość i ciepło” – niewiele słów, a jak dużo treści. A to tylko jeden z przykładów, dzięki którym pisarka oczarowuje czytelnika.

Dopełnieniem treści są czarno-białe ilustracje Ani Jamróz. Doskonale wpisują się one w klimat opowieści, raz oddając nastrój bohaterów, innym razem nabierając symbolicznego znaczenia.

Barwną grafikę odnajdziemy tylko na okładce, która od razu zwraca uwagę kolorami i charakterystycznymi, związanymi z treścią elementami.

Całość została wydana starannie i elegancko, z dbałością o szatę edytorską.

Na końcu czeka na małych czytelników szczególna niespodzianka, która może też dać do myślenia dorosłym. Pamiętacie, kiedy ostatnio napisaliście odręcznie list i wysłaliście go do kogoś w kopercie? No właśnie... Ja nie umiałam sobie przypomnieć.

Zachęcam do sięgnięcia po książkę Magdaleny Markowskiej. Można ją przeczytać wspólnie z dzieckiem, a na pewno warto z nim o lekturze porozmawiać, bo nie jest to tylko zwykła bajka. To opowieść dla każdego, pełna emocji i zapisująca się w pamięci.

Magdalena Markowska, „O dziewczynie, która tęskniła i komandosie, który płakał”, Wydawnictwo Ezop, Warszawa 2022, 140 s.

O DZIEWCZYNIE, KTÓRA TĘSKNIŁA, I KOMANDOSIE, KTÓRY PŁAKAŁ (fragment)

Magdalena Markowska

W czasie, kiedy Marta płynęła ponad chmurami w kierunku Polski, pewna dziewczynka kroczyła ze swoją mamą ulicami Gorzowa Wielkopolskiego, niedużego zielonego miasta, w stronę biblioteki. Tym razem nie szły po książki. Szły po malowanki relaksacyjne i zeszyty z tamigłówkami, które mama widziała tam kiedyś wystawione na sprzedaż, a które świetnie nadałyby się na prezent, zwłaszcza dla kogoś, kto już niedługo będzie musiał spędzić w samolocie dwadzieścia cztery godziny. Jednak dziś w bibliotece coś się zmieniło, stół z malowanymi zniknął, natomiast na wysuniętych szufladkach katalogu książek siedziały miszki. Mama i córka rozejrzały się niepewnie. Jakieś dzieci gaskały te misie, więc zrobiły to samo. Mama dotknęła takiego jednego szydełkowego, raczej śmiesznego z małą główką i bardzo długimi rękami i nogami.

– Taki dziwny, niewymiarowy – mruknęła.

– Ten dziwny jest ładny - powiedziała szybko dziewczynka. – Chociaż brudny.

– Nie brudny, tylko melanzowy, czyli szyty z dwóch nitek. Ten jest uszyty z brązowej i czarnej, dlatego jest taki brunatny – odezwała się zza pleców mamy pani bibliotekarka. Miała miły uśmiech, a na rękach jeszcze więcej kolorowych miszków, które układała na kolejnych szufladkach.

– Czy te pluszaki są na sprzedaż? – zapytała nieoczekiwanie mama i gdy usłyszała, że tak, zwróciła się do córki: – To co, Polcia, bierzemy tego miszka?

– Bierzemy!

Nie, misiek nie był dla Polci. Tego dnia mama i Polcia szukały prezentu dla Marty – dziewczynki, której życie było trochę pogmatwane. Marta była Polką mieszkającą od urodzenia w Anglii i do rodzinnego kraju przyjeżdżała tylko na święta oraz wakacje. Do tego już niebawem miała przeprowadzić się do nowego domu w dalekiej, bardzo dalekiej Australii, która leży za więcej niż siedmioma górami i siedmioma morzami. Ta Australia leży za najwyższymi górami świata, za rozległymi polami ryżu i za ogromnym oceanem, w którym żyją kolorowe ryby. Ona leży tak daleko stąd, że kiedy my jemy śniadanie, w Australii ludzie szykują już kolację.

Szydełkowy misiek był według Poli idealnym prezentem dla Marty i na długą podróż, i na nowe życie. Nie mogła doczekać się, kiedy zobaczy kuzynkę i spędzi z nią kilka dni. Co prawda, widziały się ostatnio dawno, pół roku temu, i sześciolatnia Pola już zapomniała szczegóły tamtego spotkania, ale to, co pamiętała dokładnie, to budowanie wraz z bratem, Martą i okolicznymi dziećmi bazy na

osiedlowym drzewie. Zużyli wtedy deski, płyty, palety i wszystko inne, co znaleźć można było w garażu, a czego tata nie pilnował zajęty gośćmi. Pamiętała też wyrzucanie laleczek z bristolu, które Marta jakoś śmiesznie nazywała.

- Mamo, kiedy spotkamy Martę? – dopytywała teraz zniecierpliwiona.
- Za dwa dni. Wytrzymasz? – mama uśmiechnęła się do córki.
- Nie wytrzymam. Kiedy miną te dwa dni? Dlaczego nie przyjedzie już dziś? – wyrzuciła z siebie Pola.
- Bo dziś zatrzymuje się u swojej prababci w Gdańsku. Przyjedzie do nas z rodzicami pojutrze i zostaną na weekend, wiesz o tym – tłumaczyła mama.
- To mogę chociaż spać z tym nowym misiem? Jak ty go nazwałaś? Małżowy?
- Melanżowy – powiedziała mama ze śmiechem. – Melanżowy, taki przetykany dwiema nitkami. I oczywiście, że możesz z nim dziś spać. I jutro też.



MAGDALENA MARKOWSKA: logopedka, anglistka i polonistka, absolwentka Uniwersytetu Wrocławskiego i szkockiego Argyll College. Poza logopedią ogólną i filologią polską ukończyła wiele krajowych i zagranicznych studiów i warsztatów dotyczących pracy z dziećmi. Pracuje w Zespole Szkół Gastronomicznych w Gorzowie. Autorka powieści *O dziewczynie, która tęskniła i komandosie, który płakał*.

... ZAPISAĆ, UTRWALIĆ

Roman Habdas

Czytanie czasopism zaczynam zwykle od felietonów. Taki wyrobiłem w sobie nawyk, a że jest powtarzalny, stał się moją celebrą. Dobrze wiem, także z autopsji, że tworzenie treści literackich, przy dość uregulowanym dziennym trybie życia, może mieć swój powtarzalny rytm. Odpowiednią godzinę, stosowne miejsce z tym samym kubkiem przy klawiaturze bądź ulubioną filiżanką. Choć znam i takich, którzy bez kubka czy filiżanki, a... rytualnie podparci szklaneczką. Zdarzyło się, nie kłamię, też próbowałem. Zrobiłem nawet spondoznym treściom wydruki. Na drugi dzień, wiecznie głodna niszczarka, miała co przegryźć. Nie było tam Habdasa. Był rausz. I... moralny niesmak.

Od ponad 20 lat trafiam w to samo miejsce. Szablonowo, zaraz po przyjeździe, dopadam miotłę i zaczynam swoiste boogie-woogie. Sprzątam naleciałe olszynowe listki i sosnowe szpilki, których nigdy nie zmiotę, nawet pod dywan. Przed wypłynięciem „Metaforą”, moją łupinką, na łowisko dochodzi do obrzędu sklarowania pokładu. Ooo! Pardon, raczej pokładziku. To bardzo ważna czynność na każdej pływającej jednostce. Nawet tej z łupiny orzecha Pana Maluśkiewicza. A jeśli woda darzy, następuje ryt odhaczania zdobyczy. Mniejsze ryby dostają całusa i proszone są, w chwili ich wypuszczania, o przyprowadzenie do przynęty swojego dziadka. Przy większych, jeśli trafią do siatki, zostaje najmniej miły proces skrócenia ich agonii powodowanej ogromem zalewu powietrza. Kolejny, średnio przyjemny dla sprawiającego, to skrobanie, czyszczenie i ptukanie, aż wreszcie pojawia się ów pachnący, do uzyskania chrupkości płetw, zwany pitraszeniem. O finalnym akcie, pożeraniu przy blasku świec, mlaskaniu, oblizywaniu palców i opróżnianiu doń, już wcześniej „poruszonych” szklaneczek, pisać mógłbym po świt. Ale właśnie dogasająca koza domaga się sosnowej szczapy i podaruję sobie.

Ów zapis jest dopiero szóstym przywoływanym w owym, teraz dość chłodnym miejscu, gdzie mogę przytulić wzrok, słuch, a nawet nos, by czerpać z mocno butwiejącego bukietu leśnej, późnojesiennej ściółki. Dopiero szósty. Na palcach łatwo policzyć. A kto wie, jak długo jeszcze Redakcja pozwoli mi „pływać” i darować stronę na same... blubry. Mało tu felietonowej połędwiczki, a tylko celebracja ości.

Tak bywa, że nachodzi człowieka samokrytyka. Jeszcze słowo, a napiszę o jeden życiowy błąd za dużo i erraty nie będzie. Na szczęście Gąsiorkowa koza po dołożeniu drew na ruszt ociepla myśli. Kiedy jednak spojrzę w stronę wody, za dwupniową, przysadzistą sosnę, nie widzę blasku solarowych lampek. Nie słyszę nawoływania miączących tygrysków i nie usłyszę zaproszenia do spędzenia

kilku wspólnych kwadransów przy ognisku. Ludzie przychodzą i odchodzą. Zdaje się, że bywamy z nimi za krótko, a chciałoby się bardzo celebrować wspólnie powitanie kolejnej wiosny. Sędziować sptawikowe zawody z okazji Dnia Dziecka, liczyć na spełnienie sierpniowych marzeń darowanych przez roje gwiazd. I co zostało? Na cmentarzach wypalone znicze i chryzantemy. Dla garstki dzieciaków, co rozświetlają adwentowy mrok, niesienie roratek. Chwilę później Boże Narodzenie i koniec roku z refleksją, jaki on był? Dla mnie to zmierzch pewnej znajomości, nieoczekiwany spoczynek windsorowej sąsiadki. Nachodzą mnie teraz dla skwierzyńskiej emerytowanej nauczycielki, przewodniczkę dzieci z niepełnosprawnościami, jak również kumpeli „po kiju”, wspomnieniowe wersy. Ot, taki to poetów, choć nie wszystkich, rytuał... zapisać, utrwalić. Nie zapomnieć!

WRACAJ

(Zapamiętajka o śp. Krysi P.)

Wracam i wypatruję. Zegar w swoim czasie.
Pelargonie zniknęła z okna. Przy pompie
sąsiad zagaduje, że wcześniej tego roku
myszy pchają się za próg, że kotów brakuje.
A dobrze wiemy, że nie tylko.

Zostawiłaś pogawędki i wędki, kładkę,
niebo bez gwiazd. Księżyc przepadł w zatoce
pływającej wyspy i nasze pogaduchy przy ognisku.
Brakuje w nim bodaj iskry. Chłód obsiada ławki,
pod nogawki włazi. Ciepłem jedynie pastele
w oknach tarasu.

Zbyt szybko wypaliło się tegoroczne,
prześlągnięte upałem, lato. I Ty w popiół.
Niekoszona od lipca trawa wylewa rosę.
A dzieci od malowanek jak to dzieciaki,
dopytują, czy jeszcze...

Windsor nad Zalewem Bledzewskim, 17.09.2022 r.

ODEJŚCIA, NADEJŚCIA...

Ugina się kładka od wylęgu wspomnień.
 Trzciny szeleszczą, trzciniaki wymiotto. Od zachodu
 powiewa, babie lato snuje porę roku. Wracają odstony.
 Tamtego dnia, jak dzisiaj, nie brakowało lazuru. Słońca
 blask w ciemnych okularach, kryjąc strapienie. Dlaczego
 powraca – nie wiem. Ani mi siostrą, ani pobudzeniem
 pulsu. Ot, sąsiadką z ławki przy ognisku, bon tonem
 i melancholią liczącą marzenia spadających gwiazd.
 Kiedyś spadnę i ja w otchtań niebytu, i kładka spróchnieje.
 A Perseidy ucieszą kolejnych, których datę nadejścia
 zna tylko On, cierpliwy dla naszego zapierania się.

Windsor, 7.10.2022 r.



ROMAN HABDAS: poeta, pisarz, stały felietonista „Pegaza Lubuskiego”. Członek ZLP. Wydał książki poetyckie *W ramionach Drawy* (1995), *Żucie szczawiu* (2007), *Z gliny ulepieni* (2009), *Stacje Drogi Krzyżowej* (2021). Ukazały się też powieści i zbiory opowiadań: *Mały Paryż* (2015), *Ludzie rzeki, rzeki ludzie* (2017) oraz *Żgajoki i inne opowiadania* (2019). Jest wielkim miłośnikiem przyrody i wędkowania.

JAK ZOSTAŁEM ARTYSTĄ?

Andrzej Haegenbarth

Każdy jest artystą? NIE! Artysta to wyrazista osobowość obdarzona wyobraźnią, która posiada umiejętności uformowania własnych pomysłów w sugestywny przekaz. A.H

Do rozmyślań nad tytułowym pytaniem skłoniło mnie spotkanie z publicznością, jakie miałem podczas mojej czerwcowej wystawy w 2019 roku, w poznańskiej Galerii Jerzego Piotrowicza, zatytułowanej „W ramie i poza nią”. Wówczas grafiką opartą na podstawie fotografii – z przerwami – zajmowałem się już prawie jedenaście lat. To, wbrew temu, co może wydawać się niewtajemniczonym, nie jest wiele. Mam w dorobku kilka cykli i zestawów, na które składa się kilkadziesiąt prac wystawowych. Nie zaliczam do nich zdjęć reportażowych i dokumentujących jakieś wydarzenia, bo uważam je za mało twórcze i za łatwe, dlatego sytuuję je w hierarchii niżej niż kreacyjne tzw. wystawowe. Jeśli się czegoś nauczyłem, np. sepii, to tego nie kontynuuję. Z opanowanych umiejętności korzystam wtedy, kiedy uważam to za konieczne.

Generalnie, moim zdaniem chodzi o to, aby wykonywać wszystko, czym się człowiek zajmuje, na jak najwyższym poziomie. A to jest trudność, dla wielu nie do pokonania, bo trzeba robić kompozycje niebanalne, mieć pomysły i umieć je zrealizować. Moja droga jest nietypowa. Chyba jestem zagadką dla samego siebie? Najpierw przez wiele lat byłem redaktorem pism kulturalnych i pisywałem o sztuce. Potem zacząłem również przeprowadzać wywiady z wybitnymi artystami (K. Penderecki, W. Hasiór, T. Brzozowski, Z. Zapasiewicz, C. Niemen, Jan. A.P. Kaczmarek). Przy czym pracując w takim piśmie jak „Sztuka”, nie zrealizowałem ani jednej rozmowy na tzw. łamy z żadnym artystą. Rozmawiałem z wymienionymi twórcami i innymi dopiero wówczas, gdy byłem zatrudniony we „Wprost” i „Nurcie”. Interesowało mnie to, co robią, więc przychodziło mi to bez trudności.

A jak zostałem foto-grafikiem? Chyba przez przekorę i chęć sprawdzenia siebie. Wydawało mi się, że jeśli opanuję programy graficzne, będę robił lepsze zdjęcia niż ci, o których piszę. To raz. Drugi czynnik był równie ważny: czy potrafię? Okazało się, że zrobienie dobrej fotografii nie jest łatwe. Musiałem się tego dość długo uczyć, aby mieć dobrą podstawę do dalszych przetworzeń. Wiedziałem, że trzeba się rozwijać w sposób naturalny, więc nie szalałem z deformacjami formalnymi, które od razu zwracają uwagę odbiorców.

Zawsze najbardziej interesowali mnie ludzie, a szczególnie kobiety, więc zaczynając od portretów poprzez personifikację miłości, przemijanie ulotnych wrażeń, odbić i osób, doszedłem do filozoficznych odniesień związanych z nieosiągalnym niebem artystów. Jeśli chodzi o portrety mężczyzn, to za najlepsze



Fot. Andrzeja Haegenbartha

uwzględnić konterfekty rzeźbiarza Romana Kosmali i aktora Michała Grudzińskiego. W przypadku kobiet, nietypowych portretów wykonałem o wiele więcej. Jest wśród nich portret potrójny, współczesna Mona Lisa, postaci kojarzące się z boginiami oraz takie, w których kobiety symbolizują np. przemijanie.

Z inspiracjami bywało różnie. Pewnego razu wymyśliłem sobie, że postawię ramę na palcu malarki, z czego powstał cykl „Agathea z ramą”. Innym razem na wystawę „Drzewo – oś świata” zrobiłem kompozycję „Drzewo lewitujące”, na którym dwie siostry, siedząc w pozycji kwiat lotosu, „czarują” unoszące się przed młodszą dziewczyną zielone drzewko. Punktem wyjścia do tej pracy była wygimnastykowana dziewczynka, którą postanowiłem „wziąć na warsztat”, a że w perspektywie miałem organizację wymienionej wystawy, to powstała praca, o której mowa. Innym przykładem inspiracji były dziewczyny zaprzyjaźnione z malarką Joanną Bobrzyk, autorką rozet, i jej w większości abstrakcyjne akryle. Na skutek tych znajomości powstał cykl „Portrety i rozety”, po którym usłyszałem od znajomych artystek, że się rozwijam. Potraktowałem to jako komplement, ponieważ zrobić postępek, gdy osiągnięto się już pewien poziom, jest bardzo trudno.

W sztuce, a więc również w foto-grafice nie wystarczy wiedza o uprawianej dziedzinie i kształcenie się zawodowe, bo jak wiadomo artyści wykształcić się nie da. Aby zostać artystą, trzeba posiadać wewnętrzne przekonanie, że jest się kimś i że się czegoś dokonana w wybranej dziedzinie oraz mieć dużo determinacji. Ponadto nie rozpraszać się i dużo pracować, ponieważ pomysły przychodzą podczas pracy. Myślę, że w moim przypadku w pewnym momencie odezwały się geny.

Mój ojciec przed II wojną światową studiował grafikę w Państwowej Szkole Sztuk Zdobniczych i Przemysłu Artystycznego w Poznaniu (poprzedniczce PWSSP), był m.in. na roku ze znanym później malarzem Edmundem Łubowskim. Niewątpliwie na moje poczynania wpłynęły zainteresowania ojca, a zwłaszcza obserwowanie w dzieciństwie, w jaki sposób rysuje, wykonuje dyplomy czy rzeźby.

A jak się do tego ma posiadana wiedza i mądrość? Moim zdaniem, pomaga szczególnie jednostkom wybitnym, jak np. Leonardo da Vinci (rysownik i malarz, wynalazca) czy Witkacy (portrecista, dramaturg, filozof), osobom, które uważają się przede wszystkim za artystów. W dziełach tego rodzaju twórców czuje się głębię, której są pozbawione prace innych autorów. Bowiem, jak pisał Hermann Hesse: „Tam, gdzie jednoczą się umysł i magia, być może leży tajemnica wszelkich sztuk wyższych”.



Fot. Andrzeja Haegenbartha

ANDRZEJ HAEGENBARTH (HEGEN): foto-grafik; autor książek, artykułów i szkiców monograficznych o sztuce współczesnej; pomysłodawca i kurator wystaw. Pracował jako redaktor m.in. w „Sztuce” (1974-1981), „Wprost” (1982-1986) i „Nurcie” (1986-1990) oraz w Muzeum Narodowym w Poznaniu.

Ma w dorobku książki: *Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945-1980* (1987, współautor), *Eros i współnicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje* (1990, wznowiona w 1991), *Eros i znawcy* (1994) i *Być artystą!* (1994), *W krainie Heliosa. Obrazy Hegen. Komentarze poetyckie Maria Magdalena Poczaj* (2022) oraz wiele wstępów do albumów, katalogów, a także szkiców i wywiadów z artystami. Był pomysłodawcą, autorem wstępów i kuratorem trzech dużych wystaw zbiorowych: „Artyści godni Poznania”, „Drzewo – oś świata” (dwie edycje) i „Akt jako forma sztuki”.

ZANIM ENERGIA SIĘ WYCZERPIE

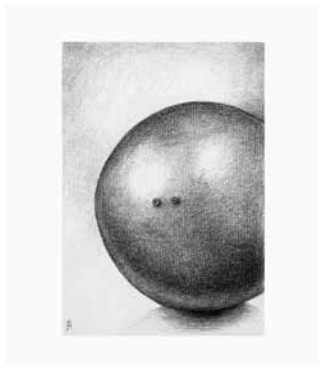
Jacek Lauda

Pierwsze obrazy powstawały w technice akrylowej, najczęściej na płytach pilśniowych. Potem właściwości farb olejnych wydały się bardziej sprzyjać wypracowanemu stylowi i tak zostało do dzisiaj. Początkowo moje malarstwo miało charakter zdecydowanie narracyjny, z dużą dawką humoru, żartu. Często inspiracją były językowe skojarzenia (jak np. „Cztery pory roku”, obraz przedstawiający cztery dojrzałe warzywa).

Obecnie, na skutek nieuchronnej, jak mi się wydaje, ewolucji myślenia o obrazie, malarstwie, są one mniej literackie, a bardziej skoncentrowane na pomysłach formalnych: kompozycji, kolorze, kontrastach.

Rysunki były przed obrazami i nadal są ważną, nie mniej niż malarstwo olejne, częścią moich plastycznych realizacji. Są zazwyczaj szybsze, kończone zanim energia, która towarzyszy pojawieniu się idei, napędzająca proces tworzenia, się wyczerpie. W rysunku narracyjność często wynika z samego pomysłu – opowiedzenia obrazem jakiejś historii, wyrażenia myśli, idei, koncepcji, żartobliwej anegdoty czy gry z językiem. Szczególnie te właściwości rysunku wykorzystuję w ilustracji.





Urodził się dawno temu (jego dziadek przyjaźnił się z wynalazcą koła) w Nowem nad Wisłą – miejscowości, której nikt nie zna i właściwie sam autor wątpi, czy istnieje. Potem studia. Ukończone (dyplom mgr socjologii do wglądu u autora, umawiać się via e-mail). Poprzez zbieg nieprawdopodobnych koincydencji osiedlił się w Gorzowie i już tak zostało.

Napisał parę wierszy, trochę opowiadań i innych form (m.in. podania o pracę, wniośki o urlop wypoczynkowy i „wczasy pod gruszą”). Niektóre zostały opublikowane tu i tam, a nawet zdarzyło się, że nagrodzone. Autor wydał dwa tomy opowiadań. Niektóre źródła podają, że trzy (*MÓI*), ale nie należy go poszukiwać, to bardzo biały, właściwie przezroczysty, kruk, w ogóle nigdy nie powstał.

Równoległe do zmagania literackich rysował, malował, a nawet rzeźbił. Zmalował wiele obrazów olejnych, akrylowych i akwarelowych. Narysował niejedno, nie zawsze wiadomo, co to było.

„I tak toczy się światek”, jak mawiał wolterowski Kandyd.

BROTHERS IN LOVE

Konrad Pruszyński

„These walls are the mountains that we climb These walls are the great divide”
Bon Jovi „Walls”

AKT I

Na scenie gramofon. Muzyka. Eryk tańczy. Śmiech. Upada, ale nie przestaje tańczyć. Krzyk. Cisza. Ciemność. ERYK siedzi po turecku na ziemi.

ERYK:

Jestem trochę jak ptak. Tu przysiądę i coś skubnę. Tu podejrzę. Tu podlecę. Czasem jebnę głową w szybę. Nic mi nie jest. Twarda głowa. Twarda. Zdarza się, że nie wiem, gdzie jestem. W te najczarniejsze godziny. Skupiam się wtedy niemożliwie, skupiam się tak, że aż mi żyłki na skroniach wychodzą, a mięśnie to napinają się mocniej niż Pudzianowskiemu w klatce, i liczę. Zaczynam niby spokojnie: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, ale z czasem tempo rośnie: siedem, osiem, dziewięć, dziesięć, jedenaście, w końcu liczę tak szybko, że już tracę nad tym panowanie: dwanaście, trzynaście, czternaście i wtedy, kiedy dochodzę już do skraju wyczerpania: piętnaście, wtedy kiedy czuję, że dalej już nie pociągnę: szesnaście, wtedy puszcza: siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia. Głęboki wdech. I wydech. No, zróbcie to razem z mną. Wdech przez nos i wypuszczamy powietrze ustami, robiąc przy tym taki rybi pyszczek. I jeszcze raz. Wdech i wydech. Wdech... Czasem to pomaga, a czasem nie.

ERYK kładzie się na ziemi. Wchodzi Miłosz. Wnosi stół.

MIŁOSZ:

Jeszcze dużo roboty mnie czeka. Niby najcięższe prace już za mną, bo remont zrobiony, ściany odmalowane, ogrzewanie wymienione, nawet wywietrzyłem ten dziwny odór. Nie wiem, na ile to prawda, ale sąsiedzi mówią, że matka poprzedniej właścicielki w tym mieszkaniu ducha wyzionęła i to stąd ten smród. Ja tam nigdy trupa nie wąchałem, ale mnie się zdaje, że to zwykły zaduch. Nieświeżość po prostu.

Wnosi krzesła i stolik pod kwiatki.

Szału nie będzie, ale zawsze to lepiej na swoim. Tak to jest, że człowiek idzie do roboty, haruje godzinami jak wół, idzie do innej roboty, a potem wraca do domu i starcza mu na... no właśnie.

Wychodzi. Eryk rozmawia przez telefon.

ERYK:

No co ty? Serio? I on tak do niej po prostu, że ma wypierdalać? Szok. Szybciej po niej spodziewałbym się, że może sobie innego faceta sprowadzić. On przecież zapatrzony w nią jak w obrazek. No właśnie.

Nie pieprz, nie pieprz, bo rodzinę powiększysz. Co? Tobie to nie grozi? No widzisz – mnie też nie. Kiedy? Wiesz co, teraz nie mogę, bo mam trochę pracy na głowie, a potem, potem to muszę pójść do brata, wiesz? To znaczy nie! Nie do brata, on ten... no nie dzisiaj po prostu muszę chwilę samemu. No przepraszam. To hej.

Kurwa! Jak ja niby mam mu to powiedzieć? Hej, Marcel, wiesz jesteś superfajny gość i w ogóle, jestem z tobą szczęśliwy, jest ogólnie zajebiście, ale, no wiesz, ja po prostu nie zasługuję na kogoś takiego jak ty, nie zasługuję na takie szczęście, rozumiesz? Nie, kurwa, nie rozumiem, bo jak to na zdrowy rozum pojąć?

Wnosi sztuczne kwiaty i stawia na regale.

Jak liczenie nie pomaga, to słucham muzyki i tańczę. W zasadzie to bardziej skaczę, rzucam się, miotam, wyję do księżycy i... spuścmy na to zastonę miłosierdzia. Lubię się umęczyć po prostu. To daje chwilę wytchnienia. No i kwiaty.

Miłosz wchodzi z żywym kwiatem, stawia go na stole. Wnosi też walizkę.

MIŁOSZ:

Uwielbia kwiaty. Mówi, że rośliny są najwdzięczniejszymi stworzeniami na świecie. Pewnie i dużo w tym racji, choć martwi mnie, że tak dużą rolę przykładu do ich pielęgnacji. Nie chodzi mi o to, że w ogóle nie powinien, no, ale te jego... mam nadzieję, że spodoba mu się prezent ode mnie. Może on pomoże mu zrozumieć i wyjść w końcu na prostą.

Nieważne! Jestem taki dumny. Czułem, że to jest mój obowiązek. Może nie ostatni, ale najważniejszy. Chodzi w końcu o jakieś podstawy, o perspektywy. Nie wiem. Może z tą zmarłą kobietą to tak na serio. Znowu coś mi tu cuchnie. No, nigdy tego domu nie wywietrzę, matko kochana, tyle roboty.

ERYK:

One mnie rozumieją. Czasem z nimi rozmawiam. Uważam, że jeśli podchodzi się do nich z szacunkiem, jak do człowieka, to one zawsze odpłacają. Nie mają wielkich wymagań – wystarczy mówić. Warto wtedy przyjąć taki niski ciepły tembr, spowolnić artykulację, pamiętać o oddechu przeponowym i mówić po prostu, z czułością. Nigdy nie chciałem mieć dzieci. Kto normalny dzisiaj planuje potomstwo? Wojny, pandemia, przeludnienie. Mnie dzieci nie grożą, ale jako odpowiedzialny człowiek nie zdecydowałbym się na dziecko w rzeczywistości, której nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Ludzie naprawdę nie rozumieją, że świat ginie, że lada chwila zaczną się masowe migracje, problemy z żywnością i dostępem do

wody. Przecież nawet moje pokolenie może się na to załapać – co dopiero kolejne. W każdym razie te kwiatki, to takie moje quasi-dzieci. Dają mi sporo radości.
Miłosz wchodzi, wnosząc karton z płytami analogowymi. Rozmawia przez telefon.

MIŁOSZ:

Nie, Marta, jeszcze go nie ma. Tak, załatwiłem wszystko, odebrałem, co trzeba i teraz już w zasadzie czekam. Nie, nie jestem głodny. Kiedy przyjdzie, na pewno coś razem przekąsimy. Tak, jeśli chcesz, to pójdę tam z tobą. Nie, nie powiedziałem, że nie chcę, tylko, że jeśli chcesz, to... Kochanie, proszę cię. Dobrze, zadzwonię i nie wrócę późno. No, pa, pa.

ERYK:

Jestem. Jestem, słyszysz mnie? Dlaczego nigdy nie odpowiadasz? Może to ze mną jest coś nie tak, co? Może po prostu ten mój zakuty łeb niczego nie pojmuje, he? Odpowiedz mi, kurwa! Daj znak! Jeden! Nawet na tyle nie zasłużyłem?

Co? Co mówisz? Nie, nie wierzę ci. Nie wierzę i nigdy nie uwierzę, rozumiesz? Tego się nie da tak po prostu naprawić. Nie! Nie! Nie! Przestań, nie słyszę cię, nie chcę cię słyszeć. Lalala! Odejdź, spierdalaj. Nigdy cię nie było, to niech teraz cię też nie będzie. Won! Raz, dwa, trzy, cztery, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy. Kurwa! Ciemność.

Eryk i Miłosz stoją po przeciwnych stronach.

MIŁOSZ:

Eryk.

ERYK:

Miłosz. Braciszku.

MIŁOSZ:

Eryk. Chodź no tu do mnie. Od kiedy to do starszego mówisz braciszku?

ERYK:

Od teraz. Wróciłem jako zupełnie nowy człowiek. Od dziś nic nie będzie tak jak dawniej.

MIŁOSZ:

Ale chyba dalej będziesz moim młodszym bratem, co?

ERYK:

Od czasu do czasu. Tak dawno cię nie widziałem, staruszk.

MIŁOSZ:

Czy ja ci wyglądam na staruszka?

ERYK:

Zawsze wyglądałeś na mniej niż masz, ale...

MIŁOSZ:

Nie ma żadnego ale, okej? Po dwudziestych urodzinach oficjalnie przestałem liczyć kolejne lata i zdecydowanie sprzeciwiam się wszelkim przejawom wypominalstwa w tym względzie. Znasz mnie – normalnie nie jestem jakiś przewrażliwiony, ale niedobrze robi mi się na myśl, że bliżej mi do trzydziestki niż osiemnastki, a przecież było to tak niedawno.

ERYK:

Nie wiem, skąd masz ten sentyment. W naszym przypadku powinno być chyba inaczej. U mnie zresztą tak jest. Im jestem starszy, tym spokojniejszy. Z każdym kolejnym rokiem oddalamy się... no, sam wiesz.

MIŁOSZ:

(po chwili)

Odezwał się. Pogadamy, jak będziesz w moim wieku.

ERYK:

Nigdy nie będę w twoim wieku.

MIŁOSZ:

No i właśnie o to chodzi. Jesteś dla mnie całkiem niezłą opcją ubezpieczeniową na starość. Pogrzebem się zajmiesz, te sprawy.

ERYK:

A co? Już wybierasz się na tamten świat?

MIŁOSZ:

Jest co najmniej jedna rzecz, którą na pewno chciałbym jeszcze zrobić przed śmiercią. No i pamiętaj, że pragnę zostać skremowany, a moje prochy masz własnoręcznie rozrzucić gdzieś w okolicach Lazurwego Wybrzeża – nikomu innemu nie zaufam.

ERYK:

Lazurowe Wybrzeże, mówisz? Ale mogę przez Google Maps, czy muszę iść do antykwariatu szukać tradycyjnych rozwiązań?

MIŁOSZ:

Opowiadaj, jak podróż.

ERYK:

Od ośrodka do dworca bardzo szybko. Potem trochę się przedłużyło, ale tylko trochę, bo półtorej godziny dla polskich kolei to doprawdy chwila, no a tutaj to już z górki. Tylko nie rozumiem, dlaczego kazałeś mi przyjść akurat tutaj.

MIŁOSZ:

A no właśnie. Tak się ucieszyłem, że cię widzę, że zapomniałem poinformować cię o najważniejszym. Witaj w domu.

ERYK:

Już się witaliśmy. A o czym chciałeś mnie poinformować?

MIŁOSZ:

No, dobra, to może inaczej. Może w ostatnich tygodniach zauważyłeś, a w zasadzie usłyszałeś przez telefon, że jestem jakiś nieswój.

ERYK:

Nic takiego nie usłyszałem.

MIŁOSZ:

Eryk, psujesz mi koncepcję. Cicho bądź. No więc, może usłyszałeś, a może nie, w każdym razie wiązało się to z tym, że przygotowywałem dla ciebie... coś, no i walczyłem z sobą, żeby zachować to w tajemnicy, poza tym miałem bardzo dużo roboty, a jeszcze Marta siedziała mi na głowie, wiesz jaka ona jest – to się spotyka z koleżankami i trzeba ją podwieźć, to znowu laptop jej się popsut i musiałem szukać jakieś dobrego informatyka, bo ona była zbyt zajęta.

ERYK:

Miłosz? Czy mógłbyś przejść do rzeczy?

MIŁOSZ:

Tak. Chodzi o to, że przygotowywałem dla ciebie niespodziankę.

ERYK:

I?

MIŁOSZ:

I witaj w domu.

ERYK:

Miłosz. Wiem, że wróciłem po dłuższej nieobecności i mogłeś się stęsknić nawet za takim utrapieniem jak ja, ale...

MIŁOSZ:

Myślałem, że tam oduczyl cię tak o sobie myśleć?

ERYK:

To jest teraz nieważne. Tak mi się tylko powiedziało. Wytłumacz mi wreszcie, o co chodzi.

MIŁOSZ:

No jak, o co chodzi? Niespodzianka, witaj w domu, to jest niespodzianka, dom.

ERYK:

Jak to dom?

MIŁOSZ:

Eryk, ja od kiedy skończyłem osiemnaście lat postanowiłem sobie, że muszę, że chcę ci pomóc. I pomyślałem, że teraz jest najlepszy moment, bo wrócisz, zaczynamy od nowa, jesteś silniejszy i przyda ci się...

ERYK:

Oszalałeś?

MIŁOSZ:

Nie, braciszku, wiem, że to może wydawać się zbyt cenne czy coś, ale po prostu uznałem, że...

ERYK:

Że co? Że tego potrzebuje? Że sam sobie nie poradzę?

MIŁOSZ:

Nie. Chciałem...

ERYK:

Chciałeś mnie wyręczyć. Pokazać, że bez ciebie nie umiem, że jestem za słaby.

MIŁOSZ:

Wcale tak nie myślę. Chciałem ci pomóc. Myślałem, że się ucieszysz.

ERYK:

Miłosz! Czy ty wiesz, co ty w ogóle...

Co? Co? Nie, nie chcę! Nie zgadzam się. Zamknij się raz na zawsze, bo jak nie, to... Wypierdalaj z mojej głowy!

Miłosz. Brat. Przepraszam. Przepraszam. Ja nie powinienem tak na ciebie... Zaskoczyłeś mnie. Wiem, że chciałeś dobrze i zrobisz dobrze, nie myśl inaczej, ale po prostu źle to odebrałem. Przepraszam.

MIŁOSZ:

Nie przejmuj się. Naprawdę nie chciałem sugerować, że sobie nie poradzisz czy coś. Stwierdziłem, że będzie ci po prostu łatwiej. Nic nigdy nie dostaliśmy od życia, więc chciałem tobie... Może w tym wszystkim bardziej chodziło o mnie. Wmówiłem sobie, że robię to dla ciebie, ale tak naprawdę zaspokajam własne potrzeby. Zachowuję się jak Marta – decyduję za ciebie, to ja przepraszam.

ERYK:

Nie! Nie ma w tym nic złego. Doceniam to, naprawdę, ale musisz mi dać czas, żeby się z tym oswoić.

Kiedy ty na to wszystko zarobisz? Nie wzięłeś kredytu, mam nadzieję?

MIŁOSZ:

Nie. Dużo ostatnio pracowałem. Poza tym pomogli ludzie z funduszu. Luksusów tu nie ma, ale zawsze lepiej w swoich czterech ścianach.

ERYK:

Dziękuję, brat.

MIŁOSZ:

Tu masz taki mały prezent ode mnie.

ERYK:

Anthurium. Bardzo ładne.

MIŁOSZ:

Żywe. Prawdziwe.

ERYK:

Nie za dużo tych prezentów? Właśnie dałeś mi mieszkanie.

MIŁOSZ:

Nieważne. Ważne, żebyś się tu dobrze czuł i dał sobie...

ERYK:

Żebym znowu nie wpadł. Tak, wiem.

MIŁOSZ:

Wierzę, że tego nie zrobisz.

Muzyka. Miłoz nakrywa do stołu naczyniami wyciąganymi z walizki. Eryk ćwiczy ze skakanką. Miłoz odbiera telefon.

MIŁOSZ:

Yhm. Yhm. Aaa. Tak, dobrze. Dobrze, zrozumiałem. Słucham? Wiesz co... nie, to ty przestań! Nie obchodzi mnie, co z nimi robisz. Rób, co chcesz i mnie też pozwól czasem robić to, na co mam ochotę, tyle. Żegnam.

ERYK:

Twoja ukochana?

MIŁOSZ:

Moja? Tak. Czy ukochana, to sam już nie wiem.

ERYK:

Myślałem, że się wam układa.

MIŁOSZ:

Układa, tak, ale zawsze tak jak ona tego chce. Rozumiesz? O wszystkim musi wiedzieć, decydować i we wszystkim zawsze musi powiedzieć ostatnie zdanie. Nie miej wątpliwości, ona do teraz nie przestała do mnie mówić. Moje „żegnam” to dla niej tylko zaproszenie do dalszej rozmowy. Większej różnicy jej to chyba nie robi, że ja w tej rozmowie nie uczestniczę.

ERYK:

To dlaczego z nią w ogóle jesteś?

MIŁOSZ:

Jak to, dlaczego? Kocham ją, nie?

ERYK:

Co jest w tamtym kartonie?

MIŁOSZ:

A to jest niespodzianka.

ERYK:

Kolejna? Mam już dość tych niespodzianek, Miłoz.

MIŁOSZ:

Ale to nic nadzwyczajnego. To znaczy nie – to jest nadzwyczajne, ale... no sam zobacz.

ERYK:

Wow! Nasza kolekcja, zatrzymałeś ją!

MIŁOSZ:

Brat, no pewnie! Twoja kolekcja, chciałeś powiedzieć.

ERYK:

Dobrze wiesz, że to twoja zasługa. Dzięki tobie słucham tej muzyki. Depesze, Radiohead, o jest i Aretha! Kiedy ją słyszę, czasem żałuję, że nie jestem kobietą. *What you want, baby I got it!*

MIŁOSZ:

Nie przesadzaj.

ERYK:

Jeden znajomy z ośrodka powiedział mi, że mam świetny gust muzyczny. „Ta współczesna muzyka to już nie to samo, co kiedyś, ale ty, ty słuchasz klasyki, ty słuchasz rocka, new wave, soulu”. I wiesz co? W tamtym momencie zdałem sobie sprawę, jak wiele ci zawdzięczam. Nawet tę cholerną muzę. Przepraszam – bynajmniej nie cholerną i muzykę, a nie muzę. A tak zupełnie serio, to właśnie o tym mu opowiedziałem. O godzinach wspólnego słuchania, o tym, jak zaznajamiałeś mnie z kolejnymi wykonawcami, że miałeś bardzo otwarty umysł na różne style, że dzięki tobie znam zarówno Ettę James, jak i AC/DC. Może to głupie, ale wiele dla mnie znaczy.

MIŁOSZ:

Zobacz ostatnią płytę.

ERYK:

Ostatnią? Dlaczego ostatnią? Miłosz! Wow! Jak to wytrzasnąłeś? Dire Straits! Nasza płyta. „Brothers in Arms”.

MIŁOSZ:

Nasza płyta.

ERYK:

Dziękuję ci.

MIŁOSZ:

Nie ma sprawy, brat. A wpadniesz do nas na święta, co?

ERYK:

Święta? Czy mnie pamięć nie myli? Do świąt jeszcze sporo czasu.

MIŁOSZ:

Tak, tak, ale... no nie wiem. Jakoś ostatnio sporo myślę o naszej rodzinie i jakoś mi spieszo do świąt. Nie wiem czemu. Ale wpadniesz, nie?

ERYK:

A do kogo miałbym niby pójść, Miłosz?

MIŁOSZ:

No nie wiem. Nie masz kogoś? Nie kręcisz się obok jakiejś dziewczyny? Wiesz, że mógłbyś przyjść razem z nią, ale... nie chciałbym, żeby cokolwiek nas kiedykolwiek oddzieliło. W święta i w ogóle.

ERYK:

Co cię tak nagle naszło?

MIŁOSZ:

Nie wiem, sorry. Może to po tym twoim wyznaniu. Pamiętasz nasze ostatnie wspólne święta?

ERYK:

Jedne jedyne spędziliśmy osobno, a mówisz o tym, jakby to była reguła.

MIŁOSZ:

Nie o to chodzi. Pytam ogólnie. O emocje. Jak się na to wszystko zapatrujesz?

ERYK:

Normalnie. Jak mam się zapatrywać? Gorzej nie będzie.

MIŁOSZ:

W zakładzie nie było chyba aż tak źle.

ERYK:

Co ci się niby podobało w świętach spędzanych w domu dziecka?

MIŁOSZ:

Było zabawnie. Zawsze sporo towarzystwa.

ERYK:

Święta nie są od tego, żeby się bawić.

MIŁOSZ:

Eryk, nie mówię, że nie wolalbym spędzać świąt z rodziną. Mówię, że jak na okoliczności nie był to najgorszy okres w bidulu.

ERYK:

Nie wiem. Dla mnie był. Cały, jak to mówisz, okres w bidulu był do dupy. Zresztą, po co do tego wracać.

MIŁOSZ:

Czytałem, że takie układanie się z przeszłością jest pomocne w procesie samodoskonalenia... znaczy no wychodzenia z nałogu. *(Po chwili)* Nie mówisz o tym otwarcie?

ERYK:

Masz na myśli nałóg? Żaden problem. Wiem, kim jestem.

MIŁOSZ:

Cieszę się. To znaczy nie o to mi chodziło, że...

ERYK:

Wiem. Nie musisz się ze mną obchodzić jak z jajkiem. Spokojnie, nie potłukę się. Po prostu nie uważam, żeby wspomnianie bidula miało coś zmienić, czy poprawić.

MIŁOSZ:

A pamiętasz, jak nas Brzozowscy przygarnęli na Boże Narodzenie?

ERYK:

Co mam nie pamiętać. Najsensowniejsze święta z tych wszystkich.

MIŁOSZ:

„Kamilu, czy mógłbyś mi podać półmisek ze śledziami? Oczywiście, kochanie. Ty nie jesz, skarbie? Nie mogę. Ale tradycja... Tradycja tradycją, ale mnie, kotku spodnie się już nie dopinają”.

ERYK:

Mów, co chcesz, ale to były jedyne rodzinne święta w naszym życiu.

MIŁOSZ:

„Czy poznaliście już naszych małych gości? Miłosz i Eryk. Oj, tacy słodcy i tacy biedni. Kto takie uroczne dzieciaki zostawia w domach dziecka? To chyba totalni degeneraci. Zjedźcie, kochani, bo pewnie tam takich wam nie dają”. Ble.

ERYK:

Co chcesz? Byli mili. Wyżerka też była niczego sobie.

MIŁOSZ:

Na niedostatki na pewno nie narzekali. Tyczyło się wszystkiego. Pamiętasz, jak po pastercie wróciliśmy do domu i ściany się trzęsły? Kochanemu kotkowi Kamilkowi pewnie libido podskoczyło.

ERYK:

Co? Co ty za głupoty gadasz?

MIŁOSZ:

No z godzinę hałasowali przecież.

ERYK:

Nic takiego nie pamiętam.

MIŁOSZ:

Bo ty jeszcze mały kurdupel byłeś i nie wiedziałeś, o co chodzi.

ERYK:

Nawet jeśli, to mnie się podobało.

MIŁOSZ:

Taaa. I tylko przykro, że nigdy więcej ich nie zobaczyliśmy, co? Pełno znajomych na święta przyjechało, to trzeba się było pokazać, jacy oni dobrzy, jakie ciepłutkie serduszka mają i jak dzielą się swoim bogactwem z maluczkimi. Ale jak to mówią: „święta, święta i po świętach”.

ERYK:

W tej kwestii się raczej nie zgodzimy. Zresztą, wolałam to niż tę sztuczną atmosferę w bidulu. A pamiętasz to wypisywanie listów do Mikołaja? „Drogi Mikołaju, mam nadzieję, że w tym roku nie zachorują ci renifery i zdążysz do wszystkich dzieci na gwiazdkę. Bardzo cię proszę o zestaw kolorowych kredek, żebym mogła rozwijać swoją pasję. Klara”.

MIŁOSZ:

Marzenie jak marzenie. Przynajmniej każdy dostawał to, czego potrzebował. Za zwyczaj. Jak kasy starczało.

ERYK:

Śmiechu warte.

MIŁOSZ:

Ale co? Nie lubieś dostawać prezentów?

ERYK:

Miłosz, głupi jesteś, czy udajesz? Przecież wszystkie dzieci w bidulu w listach do Mikołaja prosiły o jakieś bzdety. Nikt nie chciał wyjść na zachłannego i oczekującego od życia więcej niż podstawowe minimum. Chciałabym laptop, więc proszę o kredki. Chciałabym auto zdalnie sterowane, to proszę o słownik polsko-niderlandzki. To upokarzające.

MIŁOSZ:

Jak podarunki mogą być upokarzające?

ERYK:

Miłosz! Przecież wszystko to był pic na wodę! Każdy prosił o cokolwiek, bo każdy wiedział, że nie może liczyć na prezent, którego szczerze oczekiwał. Rodziców! Rodzinę! Drogi Mikołaju, mam nadzieję, że od zeszłego roku świat stał się nieco lepszym miejscem, w związku z tym, po raz kolejny, usilnie dopraszam się: daj mi rodziców! Proszę! Czy wymagam zbyt wiele?

Cisza. Dzwoni telefon Miłosa. Odchodzi na bok.

MIŁOSZ:

(ściszonym głosem)

Stucham? Dzień dobry. Wie pani co, ja tak średnio mogę teraz rozmawiać.

ERYK:

Rozmawiaj. Nie krępuj się.

MIŁOSZ:

Dowiedziała się pani? Świetnie! Ale ja w tej chwili nie mogę. Czy mógłbym do pani oddzwonić... no, za jakiś czas? Tak? Dobrze, to dziękuję bardzo i przepraszam. Do usłyszenia.

ERYK:

Kto dzwonił?

MIŁOSZ:

Z pracy.

ERYK:

Coś chcieli?

MIŁOSZ:

Jak zwykle, nie wiedzą, jak coś zrobić. Jak wrócę do domu, muszę to sprawdzić i odwalić robotę za nich.

ERYK:

Nie tylko ja mogę na tobie polegać.

MIŁOSZ:

Naprawdę tak czujesz?

ERYK:

No jasne. Zawsze byłeś dla mnie jedynym człowiekiem, u którego mogłem szukać ratunku.

MIŁOSZ:

Ja nie o tym. Czy naprawdę w każde święta, pisząc list do Mikołaja, czujesz to, o czym przed chwilą mówiłeś? (*Eryk wzrusza ramionami*) Ja nie wiedziałem. Zazwyczaj wyglądałeś na szczęśliwego – na tyle, na ile można było oczekiwać.

ERYK:

Zawsze potrafiłem udawać.

MIŁOSZ:

Przepraszam. Powinienem to wyczuć. Jakoś ci pomóc.

ERYK:

Jak niby miałbyś to zrobić? Poza tym – byłeś w tak samo trudnej sytuacji. Nic nie mogłeś poradzić. A ja nigdy nie ułatwiałem ci zadania. (*Ciemność*)

MIŁOSZ (OFF):

Jestem. Przepraszam, że wcześniej musiałem się tak rozłączyć, ale byłem w towarzystwie. Powiedziała pani, że się udało. Naprawdę? Aż trudno jest mi w to uwierzyć. Sam nie wiem, co czuję. Ale jak mogę do niej trafić? To daleko. Nie wiedziałem, że tam trafiła. No tak, tak, nieważne. Bardzo dziękuję za informacje i pomoc, naprawdę, jestem pani ogromnie wdzięczny. Do widzenia, dziękuję.

Krzyk Eryka. Miłosz z słuchawkami na głowie po jednej stronie sceny. Po drugiej Eryk – najpierw leży, wykonuje kilka pompek, skacze ze skakanką, upada na kolana.

ERYK:

Wciąż słyszę głos. Dudni w mojej głowie. Nie mogę go uciszyć. Nie chcę, nie chcę go w mojej głowie. Nie wierzę w to, że jesteś, ale jeśli gdzieś jesteś i możesz coś

na to poradzić, to proszę, pomóż mi. Nie mogę tak dłużej. Na co te wszystkie starania, na co to wszystko, kiedy sam nie mam w sobie siły. Jestem tchórzem, to wszystko moja wina, a na dodatek znowu go zawiodę, a on tak bardzo się stara. Tak bardzo nie chcę go zawieść. Jeden, dwa, trzy. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć... (*Ciemność. Muzyka*)

MIŁOSZ:

Jezu, przepraszam cię. Wiem, że miałem być wcześniej, ale Marta oczywiście miała do mnie milion spraw. Naprawdę czasem nie wiem, jak mam z nią rozmawiać. Mówię do niej jedno, a ona dopowiada sobie drugie i wychodzą same nieporozumienia.

ERYK:

Rzuć ją.

MIŁOSZ:

Co? Jak to?

ERYK:

No normalnie. Powiedz jej, że nie chcesz tak dłużej żyć i znajdź sobie inną lub innego.

MIŁOSZ:

Jakiego innego?

ERYK:

Oj, nie wiem. Tak tylko powiedziałem. Po prostu uważam, że jesteś z nią nieszczęśliwy.

MIŁOSZ:

Wydaje mi się, że nie masz racji.

ERYK:

Wydaje mi się, że w tej sytuacji „wydaje się” to za mało. Albo jesteś z nią szczęśliwy albo nie.

MIŁOSZ:

A coś ty się tak Marty uczeplił?

ERYK:

To ty w kółko na nią narzekasz. Ledwo wszedłeś, a już: „Marta to, Marta tamto”.

MIŁOSZ:

Tęsknię za czasami, kiedy poza jedzeniem, spaniem i sranie nie robieś, a przede wszystkim nie mówieś, zbyt wiele.

ERYK:

Do usług, tato.

MIŁOSZ:

Jak się czujesz przed spotkaniem?

ERYK:

Jakim spotkaniem?

MIŁOSZ:

Chyba nie zapomniłeś? Dzisiaj czwartek. Spotkanie grupy. Mieliśmy iść razem.

ERYK:

Tak się umawialiśmy? Nie pamiętam. Pójdziemy, skoro chcesz.

MIŁOSZ:

Myślałem, że ty też chcesz.

ERYK:

Jezu, brat, jak ty mnie czasem irytujesz. Powiedziałem, że pójdziemy.

MIŁOSZ:

Zanim wyjdziemy, chciałem ci o czymś powiedzieć.

ERYK:

Widziałeś rośliny? Robią wrażenie, co?

MIŁOSZ:

Tak. A gdzie jest kwiatek ode mnie?

ERYK:

Yy. Wyniosłem do drugiego pokoju.

MIŁOSZ:

Czemu? *(Wychodzi, wraca z rośliną)*

ERYK:

Nie wiem. Po prostu miałem wrażenie, że nie jest mu tu dobrze.

MIŁOSZ:

Przecież wygląda świetnie.

ERYK:

Od kiedy mi go dałeś, opadły dwa kwiaty, a trzy liście zaczęły schnąć i brązowieć na brzegach.

MIŁOSZ:

I co z tego?

ERYK:

Nic. Nieważne.

MIŁOSZ:

Wracając do tematu – chciałem ci coś ważnego powiedzieć.

ERYK:

Nie lubię tego typu zapowiedzi.

MIŁOSZ:

Chciałbym cię prosić, żebyś wysłuchał mnie do końca i przede wszystkim się nie denerwował.

ERYK:

Dobra. Koniec wstępów. Mów, o co chodzi.

MIŁOSZ:

Kilka tygodni temu natrafiłem w internecie na stronę pewnej kobiety detektyw. Czytałem kilka artykułów o podobnych rzeczach. Wiem, że może to głupie, ale dałem jej pewne zadanie. Nie wzięła dużo, zważywszy na okoliczności. Trochę mnie to zdziwiło, bo przecież dla detektywów praca w takich okolicznościach jest raczej normalna. Nikt nie idzie do detektywa ot tak bez powodu. A to zdrady, a to zaginięcia czy inne zabójstwa.

ERYK:

Miłosz, ja cię błagam, bo zaraz wykituję.

MIŁOSZ:

No przecież mówię. Dałem tej kobiecie zadanie, bo natrafiłem na pewne pogłoski i uznałem, że warto się czegoś dowiedzieć i...

ERYK:

I?

MIŁOSZ:

I wiem, gdzie mieszka nasza mama.

ERYK:

(po chwili)

O której mamy to spotkanie? Nie musimy się już zbierać?

MIŁOSZ:

Nic nie powiesz?

ERYK:

Powiem, że chyba możemy spóźnić się na spotkanie. W ogóle to przed wejściem na grupę moglibyśmy zahaczyć o jakiś sklep, bo po lodówce wiatr hula. Muszę też kupić jakiś płyn do podłóg, bo przydałoby się tu ogarnąć trochę, nie? Nie można całe życie w chlewie. *(Śmiech)*

MIŁOSZ:

Eryk, dlaczego to robisz?

ERYK:

Co robię?

MIŁOSZ:

Unikasz tematu. Ignorujesz mnie.

ERYK:

Wcale cię nie ignoruję.

MIŁOSZ:

Owszem, ignorujesz mnie. Powiedziałem ci o mamie. Zrobiłem to głównie dla ciebie, dla ciebie jej szukałem, bo wiedziałem, że przeżyłeś to wszystko jeszcze mocniej niż ja – ja zawsze starałem się być twardy, a teraz udajesz, że nic nie słyszysz, nic nie widzisz?

ERYK:

Znowu odwalasz za mnie robotę, co?

MIŁOSZ:

To jest twoja odpowiedź?

ERYK:

Słuchaj. Nie prosiłem cię o to.

MIŁOSZ:

A nawet jeśli, to nic dla ciebie ta informacja nie znaczy?

ERYK:

Nie. Mam to w dupie.

MIŁOSZ:

Eryk, ale mamy szansę się czegoś dowiedzieć, raz na zawsze zamknąć tę sprawę.

ERYK:

Ta sprawa jest zamknięta.

MIŁOSZ:

A ty całe życie chcesz tak funkcjonować?

ERYK:

Jak? O co ci chodzi?

MIŁOSZ:

O to! O to! I o to! Sztuczność, powierzchowność, nieszczerłość, udawactwo, grę! Przecież ty nawet kwiaty wolisz sztuczne od prawdziwych.

ERYK:

Ty to powiedziałeś.

MIŁOSZ:

A ty to pokazałeś. Wyniosłeś kwiat ode mnie, bo mu liście uschły. No błagam! Może nie wiesz, kochany, ale to normalne! Tak się zdarza. Trzeba się z tym pogodzić i żyć dalej.

ERYK:

Serio chcesz się kłócić o kwiat?

MIŁOSZ:

Tak. Bo to świadczy o czymś głębszym.

ERYK:

O czym według ciebie?

MIŁOSZ:

O tym, że wolisz sztuczne piękno od prawdziwej różnorodności.

ERYK:

Jestem gejem.

MIŁOSZ:

Słucham?

ERYK:

Jestem gejem.

MIŁOSZ:

Nie mów tak.

ERYK:

Dlaczego nie?

MIŁOSZ:

Bo tylko próbujesz mnie sprowokować.

ERYK:

Czyżby taka błahostka potrafiła cię sprowokować? Ciebie, który tak bardzo cenisz różnorodność?

MIŁOSZ:

Wiesz, że nie o to chodziło.

ERYK:

Tak? A ja myślę, że właśnie o to chodziło. Masz zamiar teraz tak milczeć?

MIŁOSZ:

A co mam powiedzieć?

ERYK:

Nie wiem. Że mnie akceptujesz i kochasz takiego, jakim jestem? Że powiewa ci to, w kim siękocham i z kim się rucham! Czy to dla ciebie zbyt wiele?

MIŁOSZ:

Ja się po prostu nie spodziewałem. Nie byłem przygotowany.

ERYK:

A jak miałeś być przygotowany, skoro zawsze miałeś w tej kwestii klapki na oczach? Jakie sygnały można wysyłać takim jak ty?

MIŁOSZ:

Nie prowokujesz mnie?

ERYK:

Miłosz, błagam cię. Ostatnią rzeczą, jaką mógłbym kogoś prowokować, jest moja orientacja. Wiele lat bardzo bolało mnie to, że nie mogę być z tobą szczerzy. Ba-tem się.

MIŁOSZ:

Czego?

ERYK:

Jak to czego? A nie zauważyłeś swojej reakcji?

MIŁOSZ:

Po prostu mnie zaskoczyłeś. Nie mam nic do tego.

ERYK:

Proszę cię. Wiecznie te same śpiewki: „a kręcisz się wokół jakiejś dziewczyny”, „a podoba ci się tam jakaś panienska”? Babcine teksty w stylu, kiedy przedstawisz mi swoją ukochaną?

MIŁOSZ:

Gdybym wiedział...

ERYK:

Gdybyś się nie wypytywał, to byś wiedział.

MIŁOSZ:

Przepraszam. Masz kogoś?

ERYK:

Nie. Dopiero zerwałem.

MIŁOSZ:

Dlaczego?

ERYK:

Bynajmniej nie z tego powodu, z jakiego ty powinienes zerwać.

MIŁOSZ:

Dlaczego tak mówisz?

ERYK:

Bo taka jest prawda. Ja byłem z nim szczęśliwy. Chyba aż za bardzo. Nie zasługiwałem na niego.

MIŁOSZ:

Co ty gadasz?

ERYK:

Prawdę.

MIŁOSZ:

Co z mamą?

ERYK:

A co ma być?

MIŁOSZ:

Nadal uważam, że powinniśmy jakoś to pociągnąć, dowiedzieć się czegoś więcej i zamknąć temat.

ERYK:

Dla mnie tematu nie ma. *(Ciemność)*

ERYK (OFF):

Hej. Proszę, nie rozłączaj się. Daj mi choć chwilę. Wiem, że zjebałem, że cię zawiodłem i że nie chcesz mnie znać, rozumiem to. Dalej uważam, że na ciebie nie zasługuję, ale chciałem zapytać, przeprosić cię i poprosić o spotkanie. Tak, rozumiem. Nie chciałem cię denerwować, po prostu czuję się trochę samotny, a ty jesteś jedyną osobą... byłeś? Nie zasługuję. Halo? Hej, jesteś tam?

Eryk leży na podłodze z doniczką w ręku. Wymiotuje.

MIŁOSZ:

Cześć. Nie otwierateś. Pukałem. Mogę wejść? Eryk?

ERYK:

Ty?

MIŁOSZ:

Przyszedłem cię przeprosić, ale... Coś ty zrobił dzieciaku?

ERYK:

Tak tylko leżę. *(Ponownie wymiotuje)*

MIŁOSZ:

Wstawaj. Wstawaj, mówię. Dość mam. Dość mam tego, kurwa, styszysz? Jak długo to jeszcze będzie trwało? (*Wychodzi, wraca z miednicą*) Rozbierz się. Eryk, no, ściągaj koszulkę. Dawaj to.

ERYK

To też?

MIŁOSZ:

Dawaj, mówię. Jesteś cały zarzygany. Spodnie masz mokre. Zeszczateś się?

ERYK:

Miłosz. Jesteś zły? Weź nie bądź. No sorry, no.

MIŁOSZ:

Weź mnie nie irytuj. (*Obmywa go dziecięcą gąbeczką*) Myślałem, że kiedy wrócisz z ośrodka, to będziesz silniejszy, że ci tam pomogli. Spodziewałem się, że nic nie rozwiąże problemu raz na zawsze, ale że aż tak szybko? W zasadzie nie wiem, czego oczekiwałem. Głupio zrobiłem, że nie odradziłem ci tego wyjazdu, bo przecież nikt za nas nie rozwiąże tego problemu.

ERYK:

Za mnie.

MIŁOSZ:

Co?

ERYK:

Mówiłem, że cię przepraszam.

MIŁOSZ:

Nie mnie musisz przepraszać. Siebie przeproś. To sobie robisz największą krzywdę. Widzisz to ciało? Ono nie będzie ci wdzięczne za jazdę, jaką mu teraz urządzasz. Musisz się wziąć w garść chłopaku, ale nie dla mnie, nie dla... kogokolwiek, ale dla siebie, rozumiesz?

ERYK:

(*Po chwili*) Żałujesz?

MIŁOSZ:

Hm?

ERYK:

Żałujesz, że mnie masz? Łatwiej by ci było beze mnie, co? Może nie w bidulu, bo tam zawsze raźniej we dwóch, ale wszystko co zdarzyło się po tym, kiedy wyszedłeś, no i później. Zjebałem.

MIŁOSZ:

Nie mów tak. Wiesz, że nie żałuję.

ERYK:

Może i wiem, ale trudno mi w to uwierzyć.

MIŁOSZ:

Zawsze chciałem mieć starszego brata.

ERYK:

Co? Jak to starszego?

MIŁOSZ:

No, normalnie. Wiesz. Chciałem mieć kogoś, kto trochę by mnie odciążył, pokazał jak robić pewne rzeczy, pozwolił mi czasem wyluzować, zaszaleć, nie być tym wiecznie ustatkowanym i odpowiedzialnym człowiekiem. Jak byłem młodszy, wyobrażałem sobie takiego brata, zasypiając. Tworzyłem go po prostu w mojej głowie. Myślałem sobie, jak broni mnie przed jakimiś złymi typami w ciemnym zaułku albo jak przynosi mi ciepłą herbatę, kiedy ja leżę w łóżku z przeziębieniem i ostrym nieżytem nosa. W takich okolicznościach to i nieżył fajny. No, ale mam ciebie. I za nic w świecie bym cię nie oddał. Nawet nie wiesz, jak cholernie mi na tobie zależy, Eryk. Ile razy byś nie upadał, ja zawsze będę obok, rozumiesz? Kocham cię po prostu. Nie potrafiłbym ci nie wybaczyć. (*Cisza*) Poczekaj. Przyniosę ci ręcznik i świeże ubrania. Zwymiotowałeś już chyba wszystko, co? Masz ochotę coś zjeść? Przyniosłem chiński box – tak jak lubisz. Nie wyniosteś kwiatka.

ERYK:

Puszcza nowego liścia. To, co mówicieś. To serio?

MIŁOSZ:

Ta część o rzyganiu, czy o tym, że mi na tobie zależy? A jak myślisz, głupolu?

ERYK:

Myślę, że jesteś najlepszym bratem na świecie.

MIŁOSZ:

Tylko nie zaczynaj gadki o tym, że na mnie nie zasługujesz. Byłaby to do pewnego stopnia prawdą, ale...

ERYK:

To jest prawda!

MIŁOSZ:

Błagam. Powiedz mi, czy wrócisz już do pisania? Po minie wnioskuje, jaka jest odpowiedź. Czujesz się na siłach, żeby mi pokazać? Nie chcę naciskać, ale jestem ciekaw.

ERYK:

A co? Zasiadasz w jury jakiegoś konkursu, że tak cię to interesuje?

MIŁOSZ:

Ty mnie interesujesz. Nie napisałeś nic od czasu ostatniej zapaści przed wyjazdem. Wtedy pisałeś takie głębokie teksty o swoim uzależnieniu. Nie do końca umiałem to zrozumieć, bo w rozmowie nie chciałeś podejmować tego tematu, ale kiedy pisałeś... zawsze odnosiłeś się w jakiś sposób do swoich bieżących doświadczeń. To trochę jak z naszą płytą. Mark śpiewał o Falklandach wtedy, kiedy się to wszystko działo. Trochę jakby sztuka domagała się aktualności. Coś w tym musi być, co myślisz?

ERYK:

Teraz nie piszę.

MIŁOSZ:

Szkoda.

ERYK:

Ale... w ośrodku napisałem jeden.

Mikrofon na statywie.

Byłaś ciszą w moim umyśle
 Bładym światłem przeszłych dni
 Dziś od nowa kroki liczę
 Portret twój z cierpienia drwi

Gdzie podzielaś obietnice
 Matczynego serca żar
 Nic innego dziś nie słyszę
 Tylko wyrzut, tylko gwar

Obejdź rynek znów dokota
 Otwórz swój skromniutki kram
 I na przekór, i od nowa
 Zamknij dzieje przeszłych ran

Próżny smutek już od dzisiaj
Nie zawrócę biegu rzek
Tylko trochę, choć na chwilę
Tłumię wyrzut, tłumię zgiełk

I co? Co powiesz?

MIŁOSZ:

To o mamie.

ERYK:

Zauważyłeś.

MIŁOSZ:

Daruj sarkazm.

ERYK:

Sorry, brat.

MIŁOSZ:

Często o niej myślisz?

ERYK:

A jak ci się zdaje?

MIŁOSZ:

Nadal nie chcesz do niej jechać? Dlaczego? Wytłumacz mi.

ERYK:

Tutaj nie ma co tłumaczyć. Po prostu nie uważam, żeby był to szczęśliwy pomysł.

MIŁOSZ:

Poczekaj, poczekaj. Wiemy, że żyje. Wiemy, gdzie mieszka. Nie wiadomo, jak się czuje, czy jest zdrowa i jak długo będziemy mogli się jeszcze przy podjęciu naszej decyzji wahać. Chcesz później żałować, że nie wyjaśniłeś tej sprawy, że nie znalazłeś odpowiedzi na swoje pytania?

ERYK:

Ja nie mam żadnych pytań w związku z tą sprawą, Miłosz! Nie mam, rozumiesz?! Zresztą, skoro już o tym rozmawiamy, to nazywajmy rzeczy po imieniu. Ta sprawa. Zostawiła nas, pamiętasz? Normalna, pracująca, silna kobieta wzięta i zostawiła swoje dzieci.

MIŁOSZ:

Nie musisz taki być.

ERYK:

Jaki?

MIŁOSZ:

Prowokacyjny. Dobrze wiem, co zrobiła.

ERYK:

I wciąż chcesz do niej pojechać i spojrzeć jej w oczy.

MIŁOSZ:

A ty? Nie zrobiłbyś tego nawet dla mnie?

ERYK:

Jak to dla ciebie?

MIŁOSZ:

Normalnie. Wiesz, że ta sprawa nie dotyczy tylko mnie. Chcę, muszę poznać prawdę. Łudzę się, że może ona tego żałuje, że będzie chciała choć trochę to wszystko naprawić... ale bez ciebie nie mogę. To dotyczy nas. Obu.

ERYK:

Nie do końca łapię twój punkt widzenia.

MIŁOSZ:

Chciałbym, żebyś choć raz postawił się w mojej roli. Wziął na siebie odpowiedzialność za swojego brata i mimo że nie do końca ci się ten pomysł podoba, zmierzył się z tą sytuacją. Dla mnie. Dla mojego dobra, jeśli potrzebujesz tak górnolotnych określeń.

ERYK:

Sugerujesz, że jestem nieodpowiedzialny? Bo co? Bo nie chcę się spotkać z kobietą, która dawno już nas nie pamięta? Która nie wie, kim jesteśmy?

MIŁOSZ:

To, że nie odzywała się do nas przez te wszystkie lata, nie oznacza, że o nas zapomniała.

ERYK:

Nie o tym mówię.

MIŁOSZ:

I nie, nie sugeruję, że jesteś nieodpowiedzialny. Ja ciebie po prostu proszę, żebyś mi pomógł i towarzyszył. Przede wszystkim dlatego, że ta sprawa dotyczy w takiej samej mierze nas obu. A po drugie... nie mam z kim tam pójść, a sam nie dam rady. Mam tam zabrać Martę? No błagam.

ERYK:

A jeśli będziesz tego żałował?

MIŁOSZ:

Trudno. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

ERYK:

Nie chcę, żebyś cierpiał.

MIŁOSZ:

Gadasz, jakbyś był w stanie przewidzieć, jak potoczy się rozmowa.

ERYK:

Może jestem. No nie patrz tak na mnie – nie trudno się domyślić, jak to może wyglądać.

MIŁOSZ:

Nie proszę cię o nic więcej. Po prostu tam ze mną pojedź.

ERYK:

Pamiętaj, że cię ostrzegałem. No i co się tak szczerzysz?

MIŁOSZ:

Wiedziałem, że mi nie odmówisz. Po prostu nie potrafisz się oprzeć sile moich argumentów.

ERYK:

Po prostu nie mogę nic poradzić na twoją głupotę.

Ciemność. Muzyka. Przy stole siedzi Julia. Rozwiązuje krzyżówki. Dzwonek do drzwi. Wchodzą Eryk i Miłosz.

MIŁOSZ:

Dzień dobry, mamó.

AKT II

Na scenie układ jak w poprzednim akcie. W jednym boku stoi staromodny fotel.

Julia na kolanach rozpała kilka świec w ołtarzyku. Modli się. Gasi świece.

JULIA:

Nie do wytrzymania z tą cholerną nogą. Człowiek tylko lata do tych lekarzy. Od Anasza do Kajfasza, od przychodni do przychodni i nic. *(Siada w fotelu)* Chwili spokoju. Człowiek tylko lata... lata do tych, no... lekarzy. Boli mnie ta noga. Poza tym to wszystko dobrze. *(Podchodzi do stołu po krzyżówki, wraca do fotela)* Smaruje

człowiek, moczy, tabletki chochlami łyka, nalewki dla zdrowotności pije, ćwiczenia głupekowate wykonuje i co? No, noga, noga, noga człowiekiem rządzi. Poza tym to wszystko dobrze. *(Wstaje ponownie po długopis. Wraca do fotela)* Środkowa część trylogii Sienkiewicza. Na piętnaście liter cholera wymyślili, by ich... *(Żegna się)* Jezu, jak to leciało? Pan Tadeusz? Wiem! Pan Tadeusz. Pan Ta-de... nie no, nie pasuje. Sienkiewicza. Dobra, dobra. Było od razu, że Sienkiewicza, przecież to każdy głupi wie, że Wołodymirski. Joski. Jowski. No. Pasuje. No, by to szlag jasny trafił. Jak to człowieka nałóg czasem przymusi. *(Wstaje po papierosy, wraca do fotela. Pali)* Ta noga tylko napiernicza, bo z resztą to wszystko dobrze. Trzymać się trzymam. Chociaż samotność czasem doskwiera. Nie ma do kogo gęby otworzyć, to i se sama do siebie czasem pogadam. Co to? Nie głupio jest z inteligentną osobą czasem pogawędzić, a że nikt inny nie słucha, to już ich strata. *(Wstaje po popielniczkę, siada przy stole)*

Taki papieros to dla mnie jedyne wytchnienie w ciągu dnia. Tak to człowiek lata – rano do kościoła, no bo jak inaczej dzień zacząć, jak nie od mszy. Potem do sklepu idę, bo na śniadanie zawsze pieczywo świeże musi być. Potem siedzę i rozwiązuje krzyżówki, ale nie to, że dla przyjemności. W moim wieku trzeba ćwiczyć umysł, pamięć trenować. No, a potem to jeszcze czasem do koleżanki na plotki się pójdzie, do apteki recepty wykupić i tak leci. Ostatnio raz w tygodniu chodzę do takiego jakiegoś ni to lekarza ni to nie wiadomo co. W kitlu nie chodzi, temperatury nie mierzy, w gardło nie zagląda, rozbierać się nie każe, to co z niego za lekarz, nie? Gada tylko i gada. A w zasadzie to i nie, bo więcej to ja gadam. Rodzina mnie wysłała do niego, że niby mi to potrzebne, że pomoże, ale nie wiem na co, skoro ten lekarz nic ino gada. A noga jak napierniczała, tak napiernicza. I tylko wypytuje i tylko drąży, a ja mu zawsze na moje tematy schodzę. A to mu opowiem, co mi koleżanka na plotkach przekazała, a to co ksiądz na homilii wygłosił, a to znowu jakiś przepis chłopakowi przekażę. No niech ma, nie? Miło się zazwyczaj gada. Czasem, jak o coś pyta, to nie wiem, co mu odpowiedzieć, to mówię po prostu, że nie pamiętam albo że nie chcę mówić, to on zaraz, że „wszystko w swoim czasie i bez przymusu”.

Dzwonek do drzewi.

MIŁOSZ:

Ale poczekaj może zaraz podejdzie. Nie wypada tak...

ERYK:

Chodź mówię. Nie ma na co czekać. Czas tylko tracimy, a ja jestem jeszcze dzisiaj umówiony. Sam widzisz.

MIŁOSZ:

Dzień dobry.

JULIA:

Dzień dobry. A to ja drzwi nie zamknęłam?

ERYK:

Nie, nie zamknęła pani.

JULIA:

A panowie pewnie z kościoła, od księdza wikarego w sprawie wymiany pralki, tak? Ksiądz Jędrzej to taki złoty człowiek, naprawdę. Panowie z resztą też bardzo mili – sama bym tego cholerstwa nie udźwignęła. Ja to i tak prałam od tygodni ręcznie, bo przy moich potrzebach to i pralka nie jest konieczna, ale...

MIŁOSZ:

Mieszka pani sama?

JULIA:

A sama, sama.

MIŁOSZ:

A nie kojarzy nas pani? Z wyglądu?

JULIA:

Ja panów chyba w kościele na sumie widuję, prawda? Zawsze chodzę na sumę, bo takiej homilii jak ksiądz proboszcz, to naprawdę nikt w kraju nie mówi.

MIŁOSZ:

Nie może nas pani kojarzyć z kościoła.

JULIA:

Nie?

ERYK:

Nie, proszę pani, bo my nie z tej parafii. Zresztą nie jesteśmy wierzący, a ja w dodatku jestem gejem, więc księża dla takich jak my szczególnych zaproszeń na eucharystie nie wysyłają.

MIŁOSZ:

Eryk!

ERYK:

No co? To i tak nie ma sensu.

JULIA:

Co ty, chłopaku, mówisz? Bóg każdego kocha i wybacza, jeśli się tego naprawdę pragnie.

ERYK:

Problem w tym, że tu nie ma czego wybaczać.

MIŁOSZ:

Eryk, proszę cię, nie teraz. Pani... proszę pani. Rzeczywiście nie jesteśmy z tej parafii. Nie jesteśmy nawet z tego miasta. Przyjechaliliśmy specjalnie, żeby się z panią zobaczyć.

JULIA:

Ze mną? A czemuż to? Dawno nie miałam żadnych gości.

ERYK

Nic dziwnego.

MIŁOSZ:

Sam nie wiem, jak to powiedzieć. Nie znam żadnej dobrej formy, nikt tego nie uczy w szkole, ale... chodzi o to, że pani jest naszą matką. My jesteśmy synami. Eryk i Miłosz.

JULIA:

Panowie, ale ja nie mam dzieci.

ERYK:

Mówiłem? To nie ma sensu. Możemy już iść?

MIŁOSZ:

Jak to pani nie ma? Nie pamięta nas pani?

JULIA:

Musiło się wam coś pomylić. Ja od lat mieszkam sama.

MIŁOSZ:

Owszem, mogła pani mieszkać sama przez ostatnie lata, bo my wychowaliśmy się w domu dziecka. Zostaliśmy tam przez panią oddani, kiedy byliśmy małymi chłopcami.

JULIA:

Nie, nie, nie. To jest jakieś nieporozumienie. Biedne chłopaki. Ja rozumiem wasz ból, przeżyliście straszną historię, ale mylicie mnie z kimś innym.

MIŁOSZ:

Jak ma pani na nazwisko? Konarska, prawda?

JULIA:

Skąd pan wie?

MIŁOSZ:

Ja jestem Miłosz Konarski, a to jest Eryk Konarski. Jesteśmy pani synami.

ERYK:

Błagam cię, Miłosz, skończmy już tę farsę. To jest upokarzające.

JULIA:

Naprawdę chciałabym wam pomóc, ale nie znam was i nie mam dzieci. Miłość matki jest najsilniejsza, najtrwalsza. Nie zrozumiecie tego, ale matka nigdy nie zapomniaby o swoich dzieciach – tak mówi Pismo.

ERYK:

Miłosz? Hej, Miłosz? Chodź tu, bracie. Trzymaj się. Ona nie jest tego warta, rozumiesz? Ona nic nie pamięta.

JULIA:

Czy napiją się panowie herbaty?

ERYK:

Herbaty? Weź wsadź sobie w dupę tę herbatę. Zostawiłaś dwójkę swoich małych synów w sierocińcu, wyjechałaś na drugi koniec Polski, żyjesz sobie jak gdyby nigdy nic i jedyne co masz teraz zaoferowania to jakaś jebana herbata?!

MIŁOSZ:

Eryk, daj spokój.

ERYK:

Co daj spokój? Co daj spokój?! Łatwo się zakrywać niepamięcią, co? To ja ci przypomnę! Ojciec zginął w wypadku samochodowym. Miłosz był wtedy mały, a ze mną chodziłaś w ciąży. Całe życie mu zazdrościłem tego ochłapu wspomnienia, jakie ma. Rozumiesz? Wiesz, jak to jest? Całe życie czułem się przez to mniej kochany przez ojca, bo on pamiętał chociaż urywki, pamiętał twarz, a dla mnie ojciec od zawsze istniał jako fotografia. Ale wiesz co było najgorsze? Bo wcale nie to. Najgorsza była decyzja matki, która postawiła krzyżyk na swoich dzieciach i skazała je na życie z wiecznym poczuciem winy. Ja czuję się winny. Przez ciebie.

JULIA:

Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi.

ERYK:

Chodźmy stąd.

MIŁOSZ:

Tak. Pani Julio. Przy wejściu zostawiłem blachę z ciastem. Zrobiłem je z pani przepisu. Miałem zapisany w zeszytcie do matematyki. Kiedyś zaszliśmy po szkole do naszej sąsiadki i ona go pani podyktowała. Szarlotka z szarej renety z bezą, kruszonką i konfiturą różaną. Smacznego.

JULIA:

Czekaj. *(Osuwa się na podłogę)*

MIŁOSZ:

Co się stało? Halo? Weź, pomóż mi.

ERYK:

Już w porządku?

JULIA:

Tak, tak, przepraszam was, chłopcy. To ta noga...

MIŁOSZ:

To nie wyglądało na nogę. Ma pani jakieś problemy z sercem?

JULIA:

A gdzie tam. Jestem zdrowa jak ryba, tylko ta cholerna... Szarlotka z konfiturą różaną. Robiłam to ciasto latami mojemu mężowi. Edziowi. On zginął. Zginął w wypadku. Jeździł za granicę. Przewoził różne sprzęty. Zawsze się martwiłam, kiedy wyjeżdżał, ale tym razem nie czułam nic, bo byłam zajęta innymi rzeczami. Myśmy się z Edziem bardzo kochali. Podróżowaliśmy razem po Europie. Najbardziejziej to mi się podobało we Francji. Jedliśmy świeże bagietki, a na deser lody lawendowe. Morze było takie ciepłe. Pamiętam wieżę kościoła skąpaną w tle Łazurowego Wybrzeża. Podrywał mnie tam pewien Francuz, ale biedaczek nie miał szans, nie mógł startować z Edziem w tym samym wyścigu. Edziu był szarmancki, silny i bardzo, bardzo kochający. Ale podczas tamtego wyjazdu jechał za szybko, nie wyrobił na zakręcie i spadł razem z samochodem. Pamiętam. Pamiętam. Byłam wtedy w ciąży, bo kiedy dowiedziałam się, że Edziu... to myślałam, że poronię. Ból był nieznośny.

MIŁOSZ:

Co działo się potem?

JULIA:

Nie pamiętam.

MIŁOSZ:

Niech sobie pani przypomni. Proszę, to jest dla nas bardzo ważne. My musimy się dowiedzieć, co było powodem...

JULIA:

To nie ja, to nie moja wina.

ERYK:

Co ona znowu bredzi?

JULIA:

Ja ich nie oddałam. Oni mi ich zabrali.

ERYK:

Co? Jak to zabrali?

JULIA:

Nie pamiętam. Nie pamiętam dokładnie, ale ja umarłam wtedy razem z Edziem. Nie żyłam, nie funkcjonowałam normalnie. Leżałam bez ruchu. Urodziłam, będąc niemą na ból. Nie pamiętam. Ja po prostu nigdy więcej nie widziałam moich synów.

ERYK:

I nic pani nie zrobiła? Ja rozumiem żałobę czy coś, ale później? Nic? Ot tak pani zapomniała?

JULIA:

To nie jest takie proste.

ERYK:

Co nie jest proste? Niech mi pani wytłumaczy?!

JULIA:

Ciebie. Ciebie pamiętam.

ERYK:

Miłosz, chodźmy już.

JULIA:

Nie, nie, nie. Poczekaj. Ja ciebie pamiętam.

MIŁOSZ:

To jest pani syn. Eryk. Z nim była pani wtedy w ciąży.

JULIA:

Nie. Ja go pamiętam. Ja cię widziałam.

ERYK:

Nie wiem, o czym pani mówi, okej. Miłosz, naprawdę chodźmy już stąd.

MIŁOSZ:

Poczekaj, widzisz, że jej się przypomina.

JULIA:

Kilka tygodni temu.

MIŁOSZ:

Co kilka tygodni temu?

JULIA:

Był tu. Prawda? Byłeś?

MIŁOSZ:

O czym ona mówi?

ERYK:

Nie wiem, to jest wariatka. Nie słuchaj jej.

JULIA:

Byłeś tu. Nie pamiętam po co. Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale bywałeś tu regularnie.

ERYK:

Rzeczywiście wiele pani pamięta, jak na taką sklerotyczkę.

MIŁOSZ:

Jest pani pewna, że to on? Może się pani z kimś myli?

JULIA:

Uwierz mi. Nie mylę się.

MIŁOSZ:

Eryk, o czym ona... czekaj, czekaj, czekaj. Bardzo nie chciałeś, żebyśmy tu przyjechali. Zawsze pisałeś wiersze o tym, co w danym momencie przeżywasz – niedawno napisałeś o matce. Potem mówiłeś o tym wyjeździe tak, jakbyś wiedział, czego się spodziewać, a jak tutaj przyszliśmy, to wparowałeś do środka, jakbyś wiedział, że mama, to znaczy, że ona ma... problemy.

ERYK:

To nie tak, Miłosz.

MIŁOSZ:

Co jest nie tak? W którym miejscu się pomyliłem? No, powiedz mi!

ERYK:

Możemy o tym porozmawiać na osobności?

MIŁOSZ:

Jak mogłeś mi nie powiedzieć?

ERYK:

Po prostu nie chciałem cię angażować, a kiedy dowiedziałem się, jak wygląda sytuacja, nie chciałem ci robić płonnych nadziei.

MIŁOSZ:

Ona powiedziała, że bywałeś tu regularnie. To prawda?

ERYK:

Prawda.

MIŁOSZ:

Kiedy to było?

JULIA:

Kilka tygodni temu.

MIŁOSZ:

Kilka tygodni temu to on siedział w zamkniętym ośrodku dla uzależnionych – musiał być tu wcześniej. Prawda? Byłeś tu wcześniej? Powiedz, że mam rację.

ERYK

Braciszku.

MIŁOSZ:

Chcesz mi powiedzieć, że nie byłeś w żadnym ośrodku, że to wszystko kłamstwo?

ERYK:

Pozwól mi to wytłumaczyć.

MIŁOSZ:

No tak. Teraz rozumiem dlaczego tak szybko po powrocie znowu miałeś nawrót, dlaczego tak opierałeś się przed pójściem na AA.

ERYK:

Miłosz, postuchaj.

MIŁOSZ:

Pani Julio. Dziękuję, że przypomniała sobie pani część historii. Mam nadzieję, że będzie jeszcze okazja porozmawiać, bardzo tego potrzebuję, ale nie teraz. Teraz muszę przeprosić. *(Wychodzi)*

ERYK:

Miłosz, proszę cię, zaczekaj. Miłosz! Wszystko pieprzysz, wiesz?

JULIA:

Byłeś wobec niego nieszczerzy.

ERYK:

Odezwała się. Nie zapomnij zaprosić mnie na własną kanonizację.

JULIA:

Nie wiem, o co dokładnie poszło, chłopcze, ale pretensje możesz mieć jedynie do samego siebie.

ERYK:

Przestań! Przestań w końcu mówić do mnie „chłopcze”, okej? Jestem twoim synem, a nie jakimś cholernym „chłopcem”. Eryk. Mam na imię Eryk. Myślałem, że kiedy się tu pojawimy, to tobie oberwie się za to wszystko. Przyjechaliśmy się w końcu rozliczyć z naszą wyrodną matką. Ale wyszło jak zwykle. Moja wina.

JULIA:

Chyba jesteś dla siebie zbyt surowy.

ERYK:

Co ty możesz wiedzieć?

JULIA:

Uwierz mi. Niewiele pamiętam, ale w tej sytuacji pamięć nie jest do niczego potrzebna. Bardziej przydatny jest dystans. Z nim nie trudno zauważyć, że masz niskie mniemanie o sobie.

ERYK:

To chyba normalne u porzuconych przez rodziców dzieci. Pójdę już. To był głównie jego pomysł, żeby tu przyjechać. Poszedł, więc dalsza rozmowa nie ma sensu.

JULIA:

Ładne imię.

ERYK:

O co ci chodzi?

JULIA:

Rzeczywiście przypominam sobie, że miałam dwójkę dzieci. Jednego syna. Miłosza. I drugiego syna.

ERYK:

Gratuluje spostrzegawczości. Eryka. Drugiego syna Eryka!

JULIA:

Chcieliśmy cię nazwać Kuba. Jakub.

ERYK:

To dlaczego mnie tak nie nazwałaś?

JULIA:

Nie ja wybierałam imię. Mówiłam wam, że po śmierci Edwarda przestałam żyć. Nie wiem, jak to się stało i co było później.

ERYK:

Dobrze wiedzieć, że nic od ciebie nie dostałem. Nawet imienia. Ale luz. Bardzo je lubię, jestem wdzięczny komukolwiek, kto mi je nadał.

JULIA:

Chłopcze. Mówiłam szczerze. O tym, że Bóg kocha i wybacza.

ERYK:

W dupę z taką miłością. (*Ciemność. Eryk rozmawia przez telefon*) Cześć, misiu. Wiem, że ostatnio zawałiłem i chciałem ci powiedzieć... bo ja bardzo cię ko...

Halo? Jesteś tam? *(Ponownie próbuje nawiązać połączenie)* Kurwa! *(Pisze esemesa. Rzuca telefonem. Nalewa wina do szklanki)* To co? Twoje zdrowie, Eryk! *(Ponownie napetnia szklankę. Podnosi telefon. Wystukuje kilka wiadomości. Dzwonek telefonu)* Halo. No hej. Nie spodziewałem się, że tak szybko zadzwonisz. Może i mam, ale tylko malutką. Wiesz, ogólnie to jestem trochę zajęty, ale skoro nalegasz, to mogę znaleźć dla ciebie chwilę czasu. Tak? Tak mówisz? *(Masuje krocze)* I co potem? Myślisz, że dałbyś radę? Próbować zawsze możesz. Bardzo przyjemnie, bardzo, kontynuuj. Naprawdę? Zabawny jesteś, wiesz? Jesteś bliżej, coraz bliżej. Tak. Bardzo dobrze... a jak ty masz w ogóle na imię? Co? Halo? Hej? *(Rzuca telefon. Wypija zawartość szklanki i ponownie ją napetnia. Krzyk. Ciemność)*

MIŁOSZ:

Może jeszcze jeden kawałek?

JULIA:

No, sama nie wiem.

MIŁOSZ:

Trzeba jeść. Taka duża blacha, a nas tylko dwoje. Żeby się nie zepsuło.

JULIA:

Nie no, jak ma się zepsuć, to nałóż. Pokarmu nie wolno marnować, to grzech.

MIŁOSZ:

Jak wizyta u doktora Wolskiego?

JULIA:

Jak zwykle. Pogadał, zadał parę pytań, zlecił jakieś ćwiczenia. Mam gdzieś kartkę z notatkami, ale nie wiem, gdzie ja ją mogłam położyć. Widziałeś ją może?

MIŁOSZ:

Trzeba sprawdzić w kieszeniach kurtki.

JULIA:

Masz rację.

MIŁOSZ:

Czuje pani, że to pomaga? Mam na myśli wizyty.

JULIA:

Na nogę? Ni chu... ni troszeczkę, niech mi Bóg wybaczy. Nie wiem, co to za cholerstwo, żeby żaden lekarz tego nie potrafił zdiagnozować.

MIŁOSZ:

A poza tym?

JULIA:

Co poza tym?

MIŁOSZ:

Czy wizyty pomagają na inne rzeczy?

JULIA:

Nie do końca rozumiem, co masz na myśli, chłopcze. Noga mnie boli. To na ból nogi wysłano mnie do tego doktora. Mnie nic innego nie dolega.

MIŁOSZ:

No, nie wiem. Pamięta pani ten ostatni atak duszności? Poza tym te zaniki.

JULIA:

Jakie zaniki? O czym ty mówisz?

MIŁOSZ:

Wiem, że to nie jest przyjemna sprawa, ale mówię o zanikach pamięci. Zda-
je sobie pani sprawę z tego, że zapomina o różnych, czasem najwyczejniej-
szych rzeczach.

JULIA:

No, no, no! Tylko bez takich imputacji proszę. Ja pod dekielkiem, Bogu dzięki,
jeszcze całkiem na chodzie jestem. Czasem może, ale tylko czasem. Z rzadka
bym powiedziała. Raz kiedyś. Sporadycznie. Ale to naprawdę tyle, że nie ma
o czym mówić. (*Sięga po paczkę papierosów. W środku nie ma ani jednego*) No,
cholera by to jasna trafiła. Chłopcze, sprawdź w kurtce, czy nie zostawiłam tam
jakiejś nowej paczki, z tą nogą to więcej zachodu...

MIŁOSZ podaje JULII nową paczkę.

MIŁOSZ:

Właśnie o tym mówię. Poza tym powinna pani rzucić.

JULIA:

Jeszcze czego! Ostatnią przyjemność chcesz mi zabrać, chłopcze? Po moim trupie.

MIŁOSZ:

Dobra, powiedzmy, że na razie ustąpię. Są pilniejsze sprawy.

JULIA:

Jakie znowu sprawy?

MIŁOSZ:

Czy doktor Wolski rozmawia z panią... o nas? O mnie?

JULIA:

A wiesz, że podczas ostatnich wizyt tak? Od kiedy powiedziałam mu o tej naszej przygodzie wiecznie wypytuje: „a to”, „a tamto”. Strasznie wścibski facet.

MIŁOSZ:

I co pani mu mówi?

JULIA:

A co ty? Od tego lekarza się uczysz? To są prywatne rozmowy! Nie ma się co interesować. Ale tak na marginesie ci powiem, że temu lekarzowi źle z oczu patrzy. No bo ja mu mówię, że przyszłście, że dzieci, że sierociniec, a on... no coś tam mówi, już nie pamiętam, ale tak mu się gały zaświeciły, jakby skarb jaki znalazł. Swoją drogą, to on chyba sam do lekarza powinien się udać, ale wiesz. Takiego od..., bo czy on jest całkiem normalny, to ja mam pewne wątpliwości.

MIŁOSZ:

No dobra, ale przypomniała sobie pani coś nowego? Jakieś szczegóły, cokolwiek co było po tym...?

Cisza. Dzwonek do drzwi.

JULIA:

Kogo to znowu diabli nadali? Otwarte!

ERYK:

Dzień dobry. Cześć, Miłosz.

JULIA:

A dawno cię u mnie nie było. Już myślałam, że się o coś pogniewałeś. Chodź, pyszne ciasto mamy z..., przepraszam, ale jak ty masz na imię, bo zapamiętać nie mogę, takie jakieś dziwne? A, Miłosz, no właśnie, jak nasz nieodżałowany astronom, noblista. Teraz zapamiętam. Miłosz upiekł ciasto.

MIŁOSZ:

Czy czegoś pani jeszcze potrzebuje? Bo jak nie, to ja już pójdę. Jestem umówiony z Martą.

JULIA:

Marta, Marta. Przedstawiałeś mi ją?

ERYK:

Miłosz, zostań, proszę. Musimy porozmawiać. Brat, no! Przepraszam cię.

JULIA:

No i poszedł. Coś on niezbyt ciebie lubi.

ERYK:

Zamknij się.

JULIA:

Nie da się lubić kogoś, kto sam siebie nie szanuje.

ERYK:

Słucham? Co ty możesz wiedzieć?

JULIA:

Ja tam może i nie wiem, ale widzę. Ten twój Miłosz mówi, że jakieś zaniki mi się zdarzają. Może i on ma trochę racji, dzisiaj zapomniałam nowe papierosy kupić, ale oczy mam sprawne.

ERYK:

A jak z twoim sercem? Dalej z kamienia?

JULIA:

Usiądź. Porozmawiajmy.

ERYK:

Nie przyszedłem tu rozmawiać z tobą, tylko z moim bratem. Ostatnio częściej siedzi u ciebie niż we własnym mieszkaniu. Nawet jego dziewczyna go prawie nie widuje.

JULIA:

To on ma dziewczynę? Nic mi nie mówił.

ERYK:

Tak! Ma! Martę. Marta to dziewczyna. Jego dziewczyna, rozumiesz?

JULIA:

A co mam nie rozumieć? Przystojny, młody chłopak to i dziewczynę ma. A ty jakąś masz?

ERYK:

Mówiłem ci, że... a zresztą.

JULIA:

Chciałeś porozmawiać z Miłoszem.

ERYK:

Tak, chciałem porozmawiać z Miłoszem. Wiem, że zawałem, że go zraniłem i zawałem, ale nie mam nikogo poza nim.

JULIA:

Dlaczego mu tego nie powiesz?

ERYK:

Bo nie daje mi szansy? Ucieka na mój widok.

JULIA:

Bo to trzeba szczególnej okazji i fanfar? Zanim wyszedł, miałeś szansę...

ERYK:

On mnie nienawidzi.

JULIA:

On cię kocha, idioto.

ERYK:

Co?

JULIA:

Czas. Rozumiesz? Musisz mu dać pokój. Miłość braterska nie daje za wygraną. W końcu ci wybaczy. Tego...

ERYK:

Się nie zapomina, tak? Tak samo jak matka nie zapomina o swoich dzieciach. A ty jesteś najlepszym dowodem na to, że to gówno prawda.

JULIA:

Byłeś kiedyś zakochany, chłopcze?

ERYK:

Nie wiem. Może. Kiedyś.

JULIA:

Nie mówię o takim byle zakochaniu. Mam na myśli coś, co nadaje sens twojemu życiu, coś, bez czego nie umiesz się później obejść.

ERYK:

No i? Do czego zmierzasz?

JULIA:

Kimś takim był dla mnie Edward.

ERYK:

Tak, to już wiem. Pytanie brzmi, co stało się potem, że zapomniałaś o swoich dzieciach.

JULIA:

Przestań mi ciągle wmawiać, że zapomniałam!

ERYK:

(Po chwili) Chcesz mi powiedzieć, że to wszystko kłamstwo? Udawanie?

JULIA:

Kiedy ból staje się nie do wytrzymania, ludzie przybierają różne maski.

ERYK:

To świadczy o tobie jeszcze gorzej. Zrobiłaś to z pełną świadomością.

JULIA:

Uwierz mi, że do pełnej świadomości było mi bardzo daleko.

ERYK:

Co? O czym ty mówisz?

JULIA:

Nie wymagaj ode mnie, żebym wracała myślami do tamtych czasów. Nie chcę.

ERYK:

Co znaczy, nie chcę? Wiesz, kim jestem? Kim jest Miłosz?

JULIA:

Nie mam powodu wam nie wierzyć.

ERYK:

I to tyle? Nie masz nic więcej do powiedzenia?

JULIA:

Wiesz dlaczego, kiedy przyjechałeś tu po raz pierwszy, nie mogłeś niczego ze mnie wyciągnąć?

ERYK:

Bo jesteś bezlitosna?

JULIA:

Ty mnie nazywasz bezlitosną? Uwierz lub nie, ale w tamtym momencie naprawdę nie zdawałam sobie z tego wszystkiego sprawy. Tak długo nosiłam swoją maskę, że trudno mi było ją zrzucić.

ERYK:

Co się zmieniło?

JULIA:

Twój brat. Ta błahostka. Ciasto. To mnie obudziło. Wspomnienie. Wspomnienie najpiękniejszych chwil mojego życia.

ERYK:

Chcesz mi powiedzieć, że twarz twojego syna nie obudziła w tobie wspomnień? Tak. Teraz rozumiem. Obudziłem w tobie wspomnienia, ale nie te, których oczekiwałaś.

JULIA:

Byłam wtedy z tobą w ciąży. Rodziłam cię, kiedy zdarzyło się wszystko, co złe w moim życiu.

ERYK:

No tak. Mogłem się tego spodziewać. Całe życie czułem się winny, a teraz rozumiem dlaczego.

JULIA:

To nie tak.

ERYK:

Oczywiście, że tak. Mam rację. Myślisz, że dlaczego moje życie wygląda tak, jak wygląda? Dlaczego nie umiem wejść w żaden stabilny związek, dlaczego jestem słaby i... i piję.

JULIA:

Przestań się nad sobą użalać. Nieźle jest mieć taką wymówkę, co? Miałem cholernie trudne życie, więc mogę teraz wszystko pieprzyć. Owszem – twoja twarz

więzała się we mnie z najgorszymi wspomnieniami, ale to nie była ani moja, ani przede wszystkim twoja wina.

Pamiętasz, kiedy mówiłam wam, że to nie ja oddałam swoich synów do domu dziecka, że mi ich zabrali? Z jednej strony mówiłam prawdę. Z drugiej... moje zachowanie dalekie było od sprzeciwu. Nie przesadzałam, mówiąc, że po śmierci waszego ojca przestałam żyć. Nie jadłam, nie wychodziłam z łóżka, po wykorzystaniu całego urlopu nie wróciłam do pracy, potem zostałam zwolniona. Mnie nie było. Wiem, to było chore, ale w tamtym momencie nie potrafiłam nic na to poradzić. Po prostu wegetowałam. Nie miałam nawet odwagi skończyć sama ze sobą. Kiedy cię urodziłam, nawet nie spojrzałam w twoją stronę, nie chciałam cię karmić, nie brałam cię na ręce. Poza jedną nocą, kiedy przyśnił mi się głos męża, poczułam, że mnie gdzieś woła, dotarłam pod twoje łóżeczko, mimo później godziny nie spałeś, i to właśnie wtedy pozwoliłam sobie na kilka sekund na ciebie spojrzeć. Miłosz zawsze był podobny do mnie, ale ty... ty miałeś oczy Edwarda. Masz jego oczy. Kiedy się tu zjawisz, nie poznałam twojej twarzy. Zobaczyłam te oczy.

W tamtym momencie znenawidziłam cię za to wspomnienie Edka. Równie mocno znenawidziłam samą siebie. Nie myślałam, że jestem w stanie odczuwać podobne emocje względem własnego dziecka.

W szpitalu musieli zauważyć, że coś jest ze mną nie tak, bo zaczęli do naszego mieszkania przysyłać jakichś dziwnych, podejrzliwych ludzi. Miłosz cię karmił, przewijał, kąpał. Sam był niewiele starszy. Ja nie żyłam. Nie było mnie do czasu, kiedy poznałam pewnego księdza. Nie wiem, skąd on się wzięty w moim pokoju, kto go wpuścił – pewnie Miłosz. Maciej godzinami siedział przy moim łóżku, trzymał mnie za rękę, mruzczał coś pod nosem. Nie wiem, czy to była modlitwa, czy narzekanie. Z czasem zaczęłam mu odpowiadać na pytania. Najpierw te podstawowe: „czy chcesz pić?”, „czy chcesz siku?”, później zaczęliśmy rozmawiać. Spowiadałam się mu. On mnie pocieszał, wciąż powtarzał, że wszystko się ułoży, że on się mną zaopiekuje. Nie widziałam dla siebie innej drogi. Czułam, że tylko on mógł mnie z tego wyciągnąć. Każdego wieczoru po mszy przychodził do nas, jadł z nami kolację, a kiedy Miłosz kładł się spać, wchodził do mojego pokoju. Czułam się bezpiecznie, kiedy budziłam się w jego towarzystwie. Traf chciał, że kilkanaście dni później Maciej otrzymał list z kurii. Przenosili go na inną parafię. Nie było wyboru. Musiał jechać. A ja musiałam jechać z nim. Naprawdę nie widziałam innej opcji, byłam pewna, że bez niego już na zawsze pograżę się w ciemności i rozpacz. Zgodził się. Powiedział, że będzie w stanie to utrzymać w tajemnicy pod jednym warunkiem.

ERYK:

Że nas zostawisz.

JULIA:

Byłam całkowiec pod jego wpływem.

ERYK:

Dobra. Okej. Powiedzmy, że rzeczywiście byłeś w tak dużym kryzysie, zakochałeś się, na nowo poczułeś, że żyjesz i poszłaś za nim. Ale skoro było ci tak dobrze, z każdą chwilą czułeś się coraz lepiej, to co się wydarzyło, że zupełnie o nas zapomniałaś, że nie chciałaś po nas wrócić?

JULIA:

Rzecz w tym, że nie było coraz lepiej. Nie było, bo po kilku tygodniach dowiedziałam się, że spotyka się z inną. Najpierw rzadziej do mnie przychodził, coraz częściej znajdował jakieś niespójne wymówki, aż w końcu powiedział mi, że musimy skończyć, że się zakochał i ma z inną dziecko. Dla niej rzucił sutannę. Ja byłam dla niego miłym dodatkiem do Boga. Ona Boga pokonała.

ERYK:

Skurwysyn.

JULIA:

Byłam tak wściekła. Uznałam, że muszę to wykorzystać, przekuć w „sukces”, no i postanowiłam przyjąć tę maskę niepamięci, oziębłości i cholera wie czego jeszcze. Po prostu wmówiłam sobie, że nie mam dzieci, a ukochany mąż nie mieszka ze mną, ale żyje, żyje, a to jest przecież najważniejsze, no bo o co chodzi w życiu, jeśli nie o życie właśnie?

ERYK:

Powinnaś to wszystko powiedzieć Miłoszowi. Nie mnie. On się tak stara. Tak bardzo mu zależy.

JULIA:

To te twoje oczy...

Ciemność. Miłosz rozmawia przez telefon.

MIŁOSZ:

Tak, skarbie. Przepraszam cię za wczoraj, trochę mnie poniosło, ale wiesz, jak jest, trochę jestem ostatnio spięty. No wiem, wiem, sztywniak ze mnie jak cholera, przepraszam. Dobrze, będę dawał znać, pisał co pięć minut i stał kwiatki i całuski, no... pa, pa, Martuś.

Miłosz, Miłosz, czy ciebie totalnie pojebało? Stał kwiatki i całuski? (*Eryk wchodzi, Miłosz go nie widzi*) Przepraszam, ale dzisiaj nie przywiozłem ciasta. Miałem wczoraj taką kłótnię w domu, że musiałem...

ERYK:

Cześć, braciszku.

MIŁOSZ:

To ty.

ERYK:

Możemy porozmawiać? *(Podchodzi do przeciwnej strony stołu)*

MIŁOSZ:

Nie mamy o czym rozmawiać *(Zmierza do wyjścia)*

ERYK:

Miłosz, stój! Wiem, że zawałem, że cię zawiodłem i mnie nienawidzisz. Wiem. Zrób coś! Cokolwiek! Zwyzywaj mnie, wyśmiej, pobij, cokolwiek, ale nie bądź obojętny! Nie uciekaj ode mnie.

Przepraszam cię. Będziesz mi w stanie jeszcze kiedyś zaufać? *(Dzwonek telefonu)*

MIŁOSZ:

Co tam, musimy teraz, bo jestem trochę zajęty? Kobieto, rozmawialiśmy dwie minuty temu, ogarnij się, co? Nie! To ty się zamknij, bo doprowadzasz mnie do szału. Mam cię dość, rozumiesz? Cześć!

ERYK:

Przepraszam, brat.

MIŁOSZ:

Wiesz, że to nieprawda, nie?

ERYK:

Ja naprawdę żałuję, Miłosz. Nie powinienem tak robić.

MIŁOSZ:

Ja nie o tym. Nie nienawidzę cię, idioto. Co ty masz pod okiem? Kto ci to zrobił?

ERYK:

To? Drobnostka.

MIŁOSZ:

Nie drobnostka, tylko gadaj, kto ci to zrobił i dlaczego. Siadaj, opatrzę ci to.

ERYK:

Byłem w nocy na imprezie. W swoim towarzystwie. Sam rozumiesz – nie przepadasz za nim.

MIŁOSZ:

Daj spokój.

ERYK:

Pewnie mi nie uwierzysz, ale nie piłem. Ani kropli. Wiem, to nieodpowiedzialne chodzić w takie miejsca, ale musiałem. Ostatnio czułem się trochę samotny. Inni chłopcy pili. Wiesz, to poważni zawodnicy. Jednemu z drugim trochę odjechało, zaczęli urządzać sobie polewkę z każdego po kolei.

MIŁOSZ:

No i się na nich pogniewałeś.

ERYK:

Tak można powiedzieć.

MIŁOSZ:

Za co?

ERYK:

Oni potrafią być naprawdę bezlitośni. Myślą, że każdy ma taki sam, lekki stosunek do życia i... innych rzeczy jak oni.

MIŁOSZ:

No, ale co dokładnie zrobili? No, mów, nie daj się prosić.

ERYK:

Dokładnie to zaczęli sugerować, żebym cię następnym razem przyprowadził, bo chętnie by takiego świętoszka jak ty... no sam rozumiesz, nie każ mi tego wszystkiego powtarzać.

MIŁOSZ:

I co dalej?

ERYK:

No, poniosło mnie trochę. Poza tym poczułem, że mam jedyną w życiu okazję odwrócić trochę rolę w naszej relacji. Zawsze to ty się mną opiekowałeś i mnie broniłeś. Tym razem chciałem poczuć, że to ja bronię ciebie.

MIŁOSZ:

Przepraszam cię.

ERYK:

Chyba nie nadążam.

MIŁOSZ:

Całe życie ci ojcowąłem. Częściej znajdowałeś we mnie tego cholernego, rozważnego filozofa niż prawdziwego brata.

ERYK:

To nieprawda.

MIŁOSZ:

Mnie nikt nie ojcował ani nie matkował. Może to dlatego. Może też dlatego jestem w takim, a nie innym związku czasem i potraktuj to jako eufemizm, ale ogólnie to dobry facet z ciebie wyrósł, wiesz? Z jednej strony potrzebuję tej nadopiekuńczości, a z drugiej strasznie mnie to wszystko wkurwia.

Ale tak z ojcowskiej perspektywy, to muszę ci szczerze powiedzieć, że jestem z ciebie dumny. Wnerwiasz mnie.

ERYK:

Dzięki, tato. Nawet na żywe roślinki się przerzuciłem.

JULIA:

A kim panowie są? Co to ja drzwi nie zamknęłam, wychodząc?

ERYK:

A tej co znowu?

MIŁOSZ:

Mamo? Nie pamięta nas mama?

JULIA:

No zero poczucia humoru, za grosz. Oczywiście, że pamięta. Noga mnie boli, ale z całą resztą, Bogu dzięki, jest jeszcze całkiem nieźle. Choć powiem wam chłopaki, że ostatnio i ta noga trochę przechodzi. Widać, że to gderanie z doktorkiem pomaga.

ERYK:

Taaak. To na pewno ten doktorek.

MIŁOSZ:

Mam coś dla ciebie.

JULIA:

Upiekłeś ciasto?

MIŁOSZ:

A. Nie. Miałem wczoraj małą sprzeczkę w domu. Zobacz.

JULIA:

Maryla? Rodowicz?

MIŁOSZ:

No tak. Musiałem porządnie przejrzeć swoją kolekcję, żeby się zorientować, które płyty mam jeszcze z naszego starego mieszkania. Jest twoja.

JULIA:

Miłosz, błagam cię. Ja takiego czegoś nigdy nie słuchałam. To twojego ojca.

ERYK:

Jak to?

JULIA:

No tak to. Godzinami mu wpajałam porządne rockowe rytmy i w końcu się przekonał chłopaczyna. Nie miał innego wyjścia.

ERYK:

Chcesz mi powiedzieć, że gust muzyczny odziedziczyliśmy po naszej wyrodnej matce?

MIŁOSZ:

Na to wygląda.

Julia wychodzi.

ERYK:

Pamiętasz? „Byłem świadkiem waszych cierpień, kiedy walki się wzmagaly i choć bardzo mnie zraniły, w strachu i rozpaczynie nigdy mnie nie opuścicieś...

MIŁOSZ:

... bracie krwi”.

ERYK:

Mamo. Mam do ciebie pytanie. Bo jest taki Grzesiek, Grześ. Bardzo chciałbym wam go...

Wybiega.

MIŁOSZ:

„Mamy jeden świat, a żyjemy jakby w innych”.

Nieźła historia.

Muzyka. Miłosz wyciąga wszystkie elementy scenografii.

Dzwonek telefonu. Muzyka cichnie.

Halo, Marta? Nie, nie, nie. Poczekał i teraz ty mnie posłuchaj. Rzucam cię. Co? Normalnie, nie kocham cię i tyle. Co? Nie! A jeśli bym był, to co? Dobra, wiesz co możesz sobie zaśpiewać „Ale to już było”. Ja mam dość! Koniec! Idź dręczyc innych.

Ciemność.

KONIEC, grudzień 2021



KONRAD PRUSZYŃSKI: pochodzący z Gorzowa aktor, reżyser, autor sztuk teatralnych, krytyk teatralny, poeta. Założyciel Teatru Mostów. Autor sztuki *Jestem czysty* napisanej z okazji 30-lecia pracy twórczej Bogusławy Jędrzejczyk.

TWORZENIE FRASZEK TO NIE FRASZKA

Anna Dominiak

17 września jury II Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego im. Jana Grossa, zorganizowanego przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie, w składzie: **Anna Dominiak** (przewodnicząca), **Jadwiga Gross** i **Jacek Lauda**, po zapoznaniu się ze 168 zestawami fraszek nadesłanych przez 145 autorów, zdecydowało przyznać trzy nagrody główne.

I nagrodę otrzymała **Agnieszka Śliz** (Dobroń)

II nagrodę – **Zbigniew Witostawski** (Gorzów Wielkopolski)

III nagrodę – **Bartłomiej Bill** (Konin)

Nagrodę specjalną ufundowaną przez Rodzinę Jana Grossa – **Tomasz Grabowski** (Koślinka)

Tegoroczna, druga edycja Konkursu spotkała się z ogromnym zainteresowaniem piszących, o czym świadczą niemal czterokrotnie większa liczba nadesłanych zestawów. Ponad 20 autorów dostarczyło więcej niż jeden zestaw. Niestety, spora część tekstów wykazała słaby poziom merytoryczny i formalny. Wśród ocenianych prac były takie, które eksploatując mocno ograne w sztuce fraszkopisarskiej tematy i znacznie już wyzyskany obszar obserwacji, miały niewiele wspólnego ze współczesnymi zjawiskami. Zabrakło w nich także zręcznego, innowacyjnego, budzącego uśmiech odbiorcy ujęcia formalnego, które w tym gatunku ceni się szczególnie. Wiele grzeszyło przewidywalnością puenty i nachalnym moralizowaniem. Dlatego uwagę jury zwróciły utwory nie tylko wzorowo spełniające gatunkowe założenia fraszki, ale także odznaczające się aktualnością tematu i świeżością spojrzenia. Jak zawsze doceniona została sprawność oszczędnego operowania słowem, jasność i precyzja wyrażania myśli. Nie bez znaczenia w ocenie było dające się zauważyć odczytanie nagrodzonych autorów oraz ich umiejętność twórczych odwołań do kodów kultury i tradycji fraszki – tak jury uzasadniło swój wybór.

I nagroda
Agnieszka Śliz (Dobroń)
(godło XYZ)

Epitafium architekta

Marzenie swe spełnił (dość oczywiste) –
Przez wieczność podziwia sklepienie gwiazdziste.

Zgon copywritera

Umarł, gdyż Antropos, lub któraś z siostr jej,
Musiała pomylić „wytnij” i „wklej”.

Epitafium biznesmena

Zawsze sięgał po to, co niemożliwe się zdało,
Dzisiaj chciały takiej fuzji, co łączy duszę i ciało.

Pijaczyna w zaświatach

Zanim go najdzie rozterka jaka,
Profilaktycznie zalewa robaka.

Matematyk na łożu śmierci

Dopóki iskra w duszy się tli,
Podaje kolejne rozwinięcie Pi.

Poeta w (siódmym) niebie

Zgon własny przyjął jak rzecz oczywistą –
Wszak całe życie się mienił turpistą.

Pamięci aktora grającego Makbeta

Po spektaklu znaleźli go martwego.
Przyczyna zgonu: metoda Stanislawskiego...

Nagrobek akrobaty pogodzonego z losem

Nawet dla niego jest niemożliwością
Trwać w szpagacie – między życiem a wiecznością.

II nagroda

Zbigniew Witosławski (Gorzów Wielkopolski)
(godło tempora)

Festina lente

Festina lente – śpiesz się powoli.
Chętnie – o ile czas mi pozwoli.

Finis coronat opus

Finis coronat opus – koniec wieńczy dzieło.
Uwieńczy – pod warunkiem, że się je zaczęło.

Pecunia non olet

Pecunia non olet – pieniądze nie śmierdzą.
Krwi też na nich nie widać – najbogatsi twierdzą.

Dura lex, sed lex

Dura lex, sed lex – twarde prawo, ale prawo,
Jednak nie dotyczy mnie, załatwiłem to ustawą.

Omne trinum perfectum

Omne trinum perfectum – co potrójne, doskonałe.
Za takie gadanie od żony po gębie dostałem.

Non omnis moriar

Non omnis moriar – nie wszystek umrę,
Pomimo to całego wpakujcie mnie w trumnę.

O tempora, o mores

O tempora, o mores – o czasy, o obyczaje!
Ona ciągle by chciała, jemu sił nie staje.

Omnia mea mecum porto

Omnia mea mecum porto – to, co posiadam, przy sobie mam.
Przekonało się o tym całkiem sporo dam.

III nagroda
Bartłomiej Bill (Konin)
(godło MANGO)

WESOŁA SZKOŁA

Pani od polskiego

Problem w tym, że lekcja
Każda taka sama:
Poezja czy proza –
Dla nas zawsze dramat.

Pani od chemii

Każdy uczeń w klasie
Jest jak ściana białej,
Gdy ona przy kwasach
Omawia zasady.

Pan od angielskiego

Dzięki jego szkole
Brytyjskiej wymowy
Zabłysnął w Oxfordzie
Językiem migowym.

Pani od biologii

Komórek na lekcji
Zabrała dziś parę
I kazała włączyć
Nam komórki szare.

Pani od matematyki

Nie ma w sobie nawet
Pierwiastka humoru,
A każdego ucznia
Podstawia do wzoru.

Nagroda specjalna ufundowana przez Rodzinę Jana Grossa

Tomasz Grabowski (Koślinka)

(godło OSCULATI)

Motto:

*Kto by rzekł, że ten moskalik
Żadną przecież nie jest fraszką
Tego misjonarka z Mali
Potraktuje pustą flaszką...*

Gdybym bezbożnie raz obwieścił
„Ziemia płaska być nie może”,
Wnet sam przeor mnie popieścił
Prądem z kabla przy klasztorze.

Gdybym rzekł kiedyś, że różniczka
Wynik to odejmowanka
Zaraz wygląd mego liczka
Zniekształciła urszulanka.

Gdybym powiedział, że Kopernik
Cud-kobietą nie był wcale
To spowiednik (stary piernik)
Zrugął mnie w konfesjonale.

Powtarzałem bez ustanku
„Astronomem był A. Wolszczan”,
Więc przy farze, na przystanku
Ucierpiałem od proboszcza.

Uważałem grawitację
Za podstawę praw ciężenia,
Więc mi głowy depilację
Zrobił ksiądz w fary podziemiach.

Gdybym bezczelnie rzekł do druha
„Gaz wszak nie ma kształtu, formy”,
Biskup strzelił mnie od ucha
Przekraczając siły normy.

Gdym powtarzał jak chór mnichów
„Prawo Ohma wielce słuszne”
Ksiądz nie strzymał i ze śmichu
Pęły mu powtoki brzuszne.

Powtarzałem jak chór mniszek:
„Słusznie prawił Galileusz”,
Więc mnie pop spod Mysikiszek
Rozprawczył, lżąc „Ateusz!”.

Epilog:

*A gdy o mnie ktoś bezczelnie
Zechce stwierdzić żem grafoman
Temu na łeb spadnie celnie
Razem z prałatem ambona*

MOTYLE POFRUNĘŁY DO SPOŁECZNICZEK

Agnieszka Moskaluk

To wspaniale, kiedy docenia się kulturę nieinstytucjonalną i osoby, które od lat tworzą, ale też inspirują, inicjują wydarzenia kulturalno-artystyczne, łączą środowiska i w DNA miasta wpisują jakość. Tak jest w tym roku!

4 listopada – podczas XXIII inauguracji sezonu kulturalnego 2022/2023 – ludzie kultury zostali uhonorowani odznaczeniami ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz nagrodami kulturalnymi prezydenta Gorzowa, czyli Motylami.

Motyła otrzymała **Barbara Schroeder**, mecenaska kultury, społeczniczka, założycielka obchodzącego w tym roku 20-lecie klubu Na Zapiecku – prawdziwej prywatnej instytucji kultury.

Drugi Motyl autorstwa Andrzeja Moskaluka trafił w ręce **Beaty Patrycji Klary-Stachowiak**, wybitnej poetki, współorganizatorki wielu przedsięwzięć literackich, w tym Festiwalu HopLem czy HopBiałoszewski, pomysłodawczyni Rocznicowych Czytań oraz literackich spotkań w Klubie Jedyńka MCK.

Brązowy medal Zasłużony Kulturze Gloria Artis otrzymał malarz **Juliusz Piechocki**.

Odnakę honorową Zasłużony dla Kultury Polskiej dostali: aktorka gorzowskiego Teatru Osterwy **Joanna Rossa**, kierowniczką działu kultury filmowej Miejskiego Ośrodka Sztuki **Iwona Bartnicka**, aktorka, reżyserka i opiekunka najmłodszych adeptów sztuki teatralnej **Bogumiła Jędrzejczyk** oraz klarncista orkiestry Filharmonii Gorzowskiej i założyciel zespołów Dance of Fire Quartet i Folkfor **Grzegorz Tobis**.



Fot. Klaudia Guszpit (Urząd Miasta Gorzowa)

KWARTAŁ U HERBERTA (WYBÓR)

SPOTKANIA AUTORSKIE

4 października Zofia Mąkosa promowała w Bibliotece drugi tom powieści „Makowa spódnica. Siostry”. Spotkanie z lubuską pisarką moderowała Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk. Uznana w regionie literatka za debiutanckie „Cierpkie grona” była nominowana do Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza. Jednocześnie Zofia Mąkosa jest podwójną laureatką Lubuskiego Wawrzynu Literackiego (2017 i 2019 r.).

Fot. Grażyna Kostkiewicz-Górska



Z HISTORII REGIONU

Nominowany do tegorocznej literackiej nagrody Nike i zdobywca nagrody Angelusa Edward Pasewicz odwiedził Herberta 23 września w ramach cyklu „Nowa Marchia – prowincja zapomniana – Ziemia Lubuska – wspólne korzenie”. Spotkanie poprowadziła Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, która okazała się świetnym kompanem do rozmowy dla międzyrzeckiego erudyty. Autor „Pulverkopf” pisał powieść piętnaście lat, dzięki czemu udało się stworzyć wartościowe dzieło, w którym wielowarstwowa warstwa tekstowa jest dobrym pretekstem do odkrywania bolesnych tajemnic, a także trudnych, często traumatycznych wątków.

AMERYKA W TWOJEJ BIBLIOTECE

Dwa dni warsztatów. Dwa dni uczty amerykańskiego comic book w naszej Książnicy. A wszystko to dzięki projektowi „Ameryka w twojej bibliotece”. Mikołaj

Tkacz, freelancer-artysta, przeniósł dzieci i młodzież w zaczarowany świat kreski, wypełnienia, dymków i postaci prosto z najbardziej popularnych komiksów na świecie. Rys historyczny zaopatrzył zgromadzonych w niezbędną wiedzę, którą mogli się wykazać podczas miniquizu podsumowującego wydarzenie. Nie dość tego! Młodzi mogli pod okiem prowadzącego dowieść swojej siły w komiksowej materii i stworzyć wspólnie ciekawe historie.

WYSTAWY

Do końca października można było zapoznać się z wystawą malarstwa Elwiry Tarkowskiej, gorzowskiej projektantki, architektki wnętrz. Wernisaż odbył się 8 września, podczas którego malarka, absolwentka Wydziału Urbanistyki i Architektury Politechniki Wrocławskiej zaprezentowała kilkadziesiąt prac. Abstrakcyjna kompozycja została wykonana akrylem i fakturowymi technikami mieszanymi.

16 września otwarto wystawę „Fotografia Uliczna – Okiem Duszy” Krystyny Zwolskiej. Do 15 listopada w Galerii „Pod Koputą” nikt nie mógł przejść obojętnie wobec czarno-białych fotografii reportażowych, w których autorka umiejętnie uchwyciła ruch (a czasem i bezruch) Gorzowa oraz chwile codzienności mieszkańców oddane doskonałym dokumentującym okiem fotografki.

VARIA

„PEGAZ LUBUSKI”

Trzeci (90) w tym roku „Pegaz Lubuski” zapowiedział jesień w Bibliotece jako czas obfitujący w wydarzenia kulturalno-literackie. Gorzowskie święto literatury rozpoczęło się opartą na tekstach Jerzego Hajdugi impresją teatralną „Koniec świata” w wykonaniu Marty Karmowskiej i Bartosza Bandury. Ta niecodzienna niespodzianka wprowadziła zgromadzonych w poetycki nastrój, zwłaszcza że ostatnia część promocji „Pegaza...” została poświęcona twórczości księdza-poety, który zaprezentował tomiki „Zostań” i „takie twoje odchodzenie”.

Spotkanie poprowadził duet Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, prezeska Związku Literatów Polskich Oddział w Gorzowie Wielkopolskim i redaktorka naczelna czasopisma, oraz wyjątkowo Sławomir Szenwald, dyrektor gorzowskiej Książnicy. Leitmotiwem wrześniowego „Pegaza...” była prowincja, co wyraźnie zaakcentowała redaktorka, przytaczając we wstępniku fragment „Soboty” Andrzeja Bursy. Omówiono zawartość pisma, na łamach którego opublikowali wiersze Tomasz Korbanek, Jolanta Karasińska, Marek Lobo Wojciechowski, Ferdynand Głodzik, Krystyna Zwolska. Zdjęcia autorstwa tej ostatniej doprawiły numer szczyptą fotografii ulicznej. Poza tym w wydawnictwie pojawiły się teksty Krzysztofa Wasilewskiego, Z. Marka Piechockiego, Jerzego Hajdugi, Ryszarda Jasińskiego,

Mirosławy Szott, Anety Gizińskiej-Hwozdyk, Beaty Igielskiej, Hanny Ciepieli, Danuty Szulczyńskiej-Miłosz, Łucji Fice, Elizy Chojnackiej, Romana Habdasa, Anny Dominiak, Krystyny Zwolskiej. Ukazały się także trzy wywiady: z profesor Małgorzatą Mikołajczak i profesor Elżbietą Skorupską-Raczyńską (rozmawiała Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk) oraz z Agnieszką Rybak i Anną Smótką, autorkami „Kresów. Ars moriendi” (rozmawiała Magda Turska).

Jak podkreśliła redaktorka, autorzy numeru ukazali prowincję różnorodnie – w kontekście zaścianka, gdzie nie można rozwinąć skrzydeł, jak również, a właściwie przede wszystkim, przestrzeni wzrostu, gdzie: „zapuszcza się korzenie, ustala własną tożsamość, dzięki czemu można odważnie, śmiało, kreatywnie wychodzić w świat”.

„HERBERTOWSKI SENS PODRÓŻY”

Najważniejsze wydarzenie roku, bo przecież „Herbertiada” to prawdziwa feta patrona Biblioteki, zadziało się po raz piąty 28 października, w przeddzień urodzin poety. Tym razem całonocne wydarzenie było isticie barokowe, a to wszystko dzięki dofinansowaniu ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z funduszu Promocji Kultury.

Najpierw od godz. 10:00 warsztaty dla młodzieży pt. „Herbert w podróży”, które poprowadziła znana w środowisku pisarka i jednocześnie doświadczona pedagog Aneta Gizińska-Hwozdyk, następnie o 12:00 – gra mobilna dla młodzieży „Pan Cogito w podróży”, której pomysłodawczynią była Klaudia Makasów, a po południu – uczta dla duszy i skondensowany w pigułce zastrzyk wiedzy dla wszystkich gorzowian.

O 17:00 rozpoczął się wykład profesor dr hab. Małgorzaty Mikołajczak z Uniwersytetu Zielonogórskiego pt. „Herbert na Akropolu. Podróż do źródeł cywilizacji i podróż w głąb siebie”. To był prawdziwy majstersztyk, bo jak mogłoby być inaczej, gdy zebrani mieli okazać dowiedzieć się nie tylko o peregrynacjach Pana Cogito po Europie i – przede wszystkim – Grecji, ale też o wędrowce poety wewnątrz swojego jestestwa. Wrażliwe „ja” Zbigniewa Herberta wędrowało m.in. wokół psychoanalizy Zygmunta Freuda, mimo że oficjalnie odżegnywał się od nauk słynnego wiedeńcyzka. Profesor Mikołajczak nie omieszkała też wyraźnie zaznaczyć, że eseje Herberta, erudyty i poliglotty, są świetnym przewodnikiem po Starym Kontynencie. Kto wie, czy nie najlepszym, ponieważ poeta ujął w nich synestezyjne doznania. Lektura „Barbarzyńcy w ogrodzie”, „Labiryntu nad morzem” czy „Martwej natury z wędzidłem” nie dość, że ułatwia podróżowanie, to jeszcze otwiera czytelnika na smaki, zapachy i nietuzinkowe wrażenia wzrokowe, które patron Biblioteki wyrażał doskonałym piórem lirycznym.

Po kilkudziesięciu minutach wystąpienia profesor Mikołajczak na scenę wkroczyli Andrzej Mastalerz i Paulina Kinaszewska ze spektaklem poetycko-muzycznym pt. „Kołatka”. Aktor Teatru Polskiego w Warszawie recytował wiersze Zbigniewa Herberta, przeplatane akompaniamentem na skrzypcach w wykonaniu Pauliny Kinaszewskiej, która również zajęła się partiami wokalnymi.

Nie pozostaje nic innego, jak tylko czekać na „VI Gorzowską Herbertiadę”, która w 2023 roku będzie podwójnie wyjątkowym wydarzeniem, ponieważ będziemy obchodzić 25. rocznicę śmierci poety.



Fot. Kazimierz Ligocki



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim
zaprasza na koncert pt.:

„SKRZYDLATA KOLEĘDA”

- pastorałki Wandy Chotomskiej
w barwnych aranżacjach zespołu **SINGIN' BIRDS**
Teksty piosenek w języku ukraińskim
czyta Nataliia Zhmurkova

29 grudnia 2022 r.

godz. 18.00

sala 102



Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim

Słowo i muzyka na dobry koniec roku

- koncert kameralny
w wykonaniu

Janusza Radka i Adama Drzewieckiego

30 grudnia
2022 r.
godz. 18.00

sala 102
I piętro
gmachu WiMBP

